Zet — sztuka, kultura, sprawy społeczne

ROK VII NR. 8 (128) MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA MAJ 1938 R CENA 50 GR.

Polska a kwestia czechosłowacka

Jesteśmy w momencie zwrotnym dziejów. Katastrofa wciąż grozi. Wbrew pozornemu odprężeniu, wywołanemu stanowczą postawą Anglii, niebezpieczeństwo wojny jest większe dziś, niż w sobotę 21 b.m., kiedy to Czechy mobilizowały 2 roczniki, a Niemcy koncentrowały wojska na pograniczu sudeckim. Wówczas bowiem krótkie spięcie nie nastąpiło, bo Hitler zrozumiał, że wziął za duży impet i — odurzony powodzeniem w Austrii — przeszedł za wcześnie do ataku. Nie wchodził jeszcze w grę motyw podrażnionej ambicji. Dziś Niemcy znalazły się w położeniu drastycznym, które może je wytrącić z równowagi i popchnąć do czynów nieopatrznych. Poniosły niewątpliwie porażkę, która może postawić pod znakiem zapytania całą ich dotychczasową politykę wymuszania sukcesów bez wojny. Tym razem zastraszenie nie udało się, Europa odpowiedziała siłą na siłę. Rozwiała się legenda o niepowstrzymanym pochodzie Niemiec, a w ślad za tym może prysnąć urok, jaki wywiera Führer na naród niemiecki. I w tym tkwi właśnie największe niebezpieczeństwo. Niemcy stanęły przed dylematem: albo powrót od mistycyzmu furii teutońskiej do realizmu politycznego, albo natychmiastowa wojna.

I Niemcy mogą wybrać wojnę. Po pierwsze dla tego, że potęga Hitlera opiera się na mistycznym uroku niezwyciężoności, którego on rozproszyć nie pozwoli, po drugie zaś dlatego, że stosunek sił niemieckich do francusko - angielskich jest teraz lepszy dla Niemiec, niż może być za 2 — 3 lata, kiedy Anglia ukończy zbrojenia. Jest to groźny moment psychologiczny dla tych, którzy decydują o pokoju i wojnie. Zwłaszcza, że teraz z kolei Europa może się zagalopować i posunąć się za daleko w nowej metodzie odstraszania Niemiec od polityki „faktów dokonanych".

W tej sytuacji stoją przed Polską doniosłe problematy i rozstrzygające decyzje, od których zależy jej los i przyszłość cywilizacji europejskiej na całe dziesięciolecia. Od szeregu lat ostrzegaliśmy, w niezliczonych artykułach wstępnych, że zbliża się ta przełomowa faza naszych dziejów, na którą Polska winna być wszechstronnie przygotowana. Niestety, byliśmy „głosem wołającym na puszczy". Obecnie uważamy za swój obowiązek raz jeszcze wypowiedzieć swoje Credo, w szczególności pogląd nasz na aktualne zadania polskiej polityki zagranicznej, aby zadokumentować wobec przyszłych pokoleń, że byli w Polsce ludzie — w groźnym roku 1938-ym — którzy mieli poczucie rzeczywistości i wiedzieli, ku czemu idą wypadki.

Nacisk Niemiec na Czechosłowację i na całą Europę Środkową, będzie trwał dalej, czy to na starej drodze polityki zaskoczenia i zastraszenia, czy też przy pomocy nowych jakichś metod politycznych. Jak ma się zachować Polska wobec tego nacisku? Czy uprawiać politykę absolutnej neutralności, czy wziąć udział w zamachu niemieckim na całość republiki czechosłowackiej, czy wreszcie wystąpić przeciw Niemcom, po stronie Pragi i frontu mocarstw demokratycznych?

Odrzucamy wszystkie te trzy ewentualności. Lecz czy istnieje czwarta? Tak. Tylko, że przyjęcie jej oznaczałoby przejście od polityki koniunkturalnej, do polityki mocy. Zamiast kluczenia poomacku wśród gąszczu aktualnych możliwości, zamiast głowienia się, która z nich przynieść może Polsce najwięcej doraźnych korzyści, trzeba postawić sobie jasne pytanie: *jaki jest cel nadrzędny, który wytycza kierunek naszej drogi historycznej i jaka zasada moralna wpłynęła na obranie tego celu?*

Ten cel, to imperium ideokratyczne narodu polskiego, a zasada tego celu to *misja dziejowa Polski.* To nam wystarcza dla określenia polityki polskiej w sprawie Czechosłowacji. Bo z tej zasady i z tego celu wynika jasno nasz ideał kulturotwórczy, jakim jest *obowiązek stworzenia przez naród polski nowej, nadrzędnej cywilizacji,*

ocalającej zagrożone wartości religijne (etyka chrześcijańska) i polityczne (wolność osobista) i harmonizującej je w systemie pojęć i instytucyj społecznych, które K. L. Koniński — w dyskusji na temat B. P. A. — nazwał tak trafnie „kulturą ładu i wolności“. I z tej zasady i celu wypływa również nasz naczelny ideał historiotwórczy: *zorganizowanie przez Polskę w strefie środkowo - europejskiej nowej konstrukcji polityczno - gospodarczej*, której cementem etnicznym i ideowym byliby Słowianie, jako rasa o nowych przeznaczeniach, jaskrawo różnych od przeznaczeń rasy germańskiej i rasy romańskiej.

Obydwa te motywy: cywilizacyjny (misyjny) i imperialny (słowiański), zastosowane do problemu stosunków polsko - czechosłowackich, rozproszą odrazu mgły, otaczające to zawiłe na pozór zagadnienie. Czesi i Słowacy, to narody słowiańskie, należące bezsprzecznie do systematu środkowo - europejskiego ,a więc będące potencjalnymi współczynnikami tej nowej kultury, której stworzenie jest misją dziejową Polski. Stąd wniosek: *Czechosłowacja może żyć i rozwijać się tylko w naturalnym i polityczno - prawnym związku z Polską*. I drugi wniosek: *Polska jest naturalnym i historycznie uprawnionym gwarantem niepodległości i bytu narodowego Czechów i Słowaków*.

Jako opiekunka chrześcijaństwa i wolności osobistej, Polska ma prawo i obowiązek położenia tamy ekspansji mocarstw totalnych, a zwłaszcza niemieckiego rasizmu i żydowsko - rosyjskiego bolszewizmu, na terenie Europy Środkowej. Dotyczy to wyraźnie Czechosłowacji, jako państwa, którego suwerenność jest zagrożona zarówno przez agresję „Wielkich Niemiec“, jak przez wpywy Sowietów, które czynią niepodległość Pragi nominalną tylko i pozorną.

W obronie niepodległości i bytu narodowego Czechów i Słowaków, jako elementów niezbędnych przyszłej misji rasy słowiańskiej, i przeznaczonego do jej realizacji imperium związkowego Europy Środkowej, *Polska musi zahamować dążenia Niemiec do pochłonięcia Czechosłowacji*, i zarówno, *Polska musi oderwać Czechosłowację od związku z Sowietami i z międzynarodówką masońską*.

A więc: Polska nie może i nie powinna brać udziału w przygotowywanym przez Niemcy rozbiorze Czechosłowacji. Ale Polska nie może też i nie powinna pomagać Sowietom i masońskim demokracjom Zachodu w podtrzymywaniu niezdrowego status quo, obrażającego elementarne poczucie sprawiedliwości i deprawującego sam naród czeski. Obecny twór, sztuczny i monstrualny, zwany republiką czechosłowacką, nie ma warunków bytu w samym sobie. W ciągu ostatnich tygodni świat dostrzegł wyraźnie, że istnienie tego tworu uzależnione jest od obcych gwarancyj i obcych bagnetów. Czesi przyznali to sami oddawna, oddając się pod opiekę Rosji, a teraz potwierdzili ten stan rzeczy, wytaczając wewnętrznie swe problemy narodowościowe przed forum międzynarodowe. To też wojna europejska o utrzymanie takiego sztucznego tworu byłaby absurdem i zbrodnią z punktu widzenia międzynarodowego prawa prawdy.

Ale przedłużanie tego zakłamanego status quo, jest także śmiertelnym niebezpieczeństwem dla narodu czeskiego, oddaje go bowiem w niewolę międzynarodówkom, od których został tak perfidnie uzależniony, czyni go ich narzędziem i agenturą, zagrażającą narodom sąsiednim, i — co gorsza — odciąga go od jego rzeczywistych przeznaczeń dziejowych. Zamiast realizacji prawdy, do której naród czeski jest powołany przez Boga, musi on współdziałać z fałszem, z wrogami prawdy, z ową „bande infernale“, pchającą ludzkość do upadku przez fałszywy humanitaryzm i fałszywą interpretację postępu. Naród czeski wplątany został w „pakt z diabłem“ — jak wiele innych narodów, walczących o niepodległość — i teraz ponosi skutki tego błędu. Utrzymywanie status quo opóźnia odrodzenie duchowe narodu czeskiego, jest więc szkodliwe również z moralno - religijnego punktu widzenia.

Polska winna tedy zadeklarować się otwarcie, jako czynnik decydujący w Europie Środkowej i jako gwarant niepodległości narodu czeskiego i słowackiego, z bronią w ręku. Winna oświadczyć Niemcom wyraźnie, że mają oni prawo *jedynie* do rozwiązania problemu Sudetów, lecz nie mogą posunąć się ani o krok dalej, gdyż tu zaczyna się już sfera „iunctim środkowo - europejskiego“. Polska powinna ogłosić się opiekunką naturalną Słowian, a Niemcy — w imię swoich własnych dogmatów rasistowskich — muszą zrozumieć, że nie ma tutaj miejsca dla nich. Jednocześnie jednak musi ona wystąpić jako gwarant duchowej suwerenności wspomnianych narodów przeciw okupacji mongolsko - żydowskiego bolszewizmu, domagając się od Czechosłowacji zerwania sojuszu wojskowego i wymówienia układów z Rosją sowiecką. Wzamian zaś za tę bezpośrednią gwarancję, wzamian za rzucenie na szalę wszystkich swych sił i bytu swej państwowości, o którą przez kilkadziesiąt lat krew przelewali najlepsi synowie narodu, *Polska ma prawo i obowiązek wysunąć postulat unii Czechosłowacji, jako całości, lub Czechów i Słowaków osobno, z państwem i narodem polskim*.

Ta wyższa racja stanu stanęła przed Polską nieuchronnie, z chwilą gdy dopuściła ona już do aneksji Austrii. Albowiem narody Środkowej Europy są z góry predestynowane przez Opatrzność do naturalnej, harmonijnej symbiozy. Rozbicie monarchii austro - węgierskiej nie mogło pozostać bez następstw historycznych. Austria była „dachem wspólnym“ dla narodów w tej strefie. Gdy jej zabrakło, misję tę musi podjąć Polska, jako największe państw B. P. A., bezpośrednio uwarunkowane przez swe położenie między Rosją a Niemcami. Przeciwstawianie się tej konieczności dziejowej ze strony Czechów nie doprowadzi do niczego, bo działałoby wbrew logice i prawom moralnym. Konsekwencją jego byłyby straszne wstrząsy wojenne, nowa „Biała Góra“, lub też bezkrwawe pochłonięcie Słowiańszczyzny centralnej przez „Wielkie Niemcy“.

Podobno część Słowaków ciąży do Węgier. Jeżeli to jest prawda, należy zorganizować plebiscyt, w którymby naród słowacki wypowiedział się otwarcie, czy państwo słowackie chce żyć w związku z Węgrami, czy w związku z Polską. Nie jest to problem zasadniczy, gdyż napór Niemiec, prędzej czy później, postawi i Węgry przed koniecznością unii z Polską.

Unia narodu czeskiego z polskim stanowi klucz do nowej epoki dziejów, do prawdziwej „ery słowiańskiej“, przeczuwanej i oczekiwanej przez myślicieli i poetów obydwu narodów. Praga jest naturalnym dopełnieniem Warszawy. Lecz unia taka postuluje

jednoczesną przebudowę duchową Czech w kierunku zrozumienia istotnej misji Słowiańszczyzny w Europie, i przebudowę duchową Polski w kierunku chrystianizmu spełnionego. Imperium słowiańskie oprzeć się musi na prawdzie, a tym samym wystąpić przeciwko masońskiej idei fałszywego postępu. I misja moralno - religijna narodu polskiego musi podjąć wielkie dzieło realizacji dobra bezwzględnego, ucieleśnionego w odwiecznym ideale „Królestwa Bożego na ziemi“.

Czesi stanowią element heteronomiczny, a Polacy element autonomiczny w Słowiańszczyźnie. Między tymi dwu biegunami istnieje odwieczna antynomia. Rozwiązanie jej dokonać się może tylko na płaszczyźnie mesjanizmu słowiańskiego, w nowej wspólnocie ideokratycznej, w której Czechom przypadnie rola moralno - religijna. B. P. A. ma być bowiem zarówno politycznym Związkiem Państw, jak i etycznym „kościołem narodów“. Symbioza ta ideowa Czech i Polski jest oddawna przygotowana. Twórca mesjanizmu filozoficznego, Hoene - Wroński, miał w sobie krew polską i czeską. W herbie swym Czechy mają symbol Prawdy („prawda vitezi“). Wpływ romantycznej poezji i myśli mesjanicznej polskiej na umysłowość czeską był ogromny i trwa dotychczas. Znamienny jest głęboki, ugruntowany w głębiach duszy czeskiej entuzjazm dla idei słowiańskiej. A tabor husycki, osaczony zewsząd przez napierających Germanów, czyż nie jest symbolem dążności tego narodu do odrodzenia i zdynamizowania chrześcijaństwa?

Rozwiązanie w tym duchu problemu stosunków polsko - czeskich jest warunkiem przyszłej misji Europy Środkowej, która ma stworzyć, między Zachodem a Wschodem, „trzecią cywilizację“, nowy świat harmonii prawdy i dobra, lewicy i prawicy, wiedzy i wiary. Dopiero na tym fundamencie stanąć może owo imperium slawo — madziaro — romańsko — bałtyckie, którego dźwignięcie i utrwalenie jest wielkim posłannictwem Polski.

Naród mesjaniczny w państwie ideokratycznym

(Zagadka dziejowa Polski V)

Ideokracja oznacza rząd i nadrzędność prawdy, której stwarzanie i rozpowszechnianie naród uznał dobrowolnie i świadomie za swoje przeznaczenie i posłannictwo. Prawdę swą, *jako przeznaczenie,* przyjął naród z rąk Boga, który ją złożył w głębiach instynktu i ducha narodowego i pcha naród do jej wypełnienia przez nacisk warunków zewnętrznych. I prawdę swą realizuje naród *jako posłannictwo,* gdy ją rozpoznał w swych dziejach i w swych szczytowych kreacjach filozoficzno-artystycznych, a poznawszy umiłował ją i podjął samorzutnie obowiązek jej dopełnienia. Prawda jako przeznaczenie to *wsobność* narodu, jego byt absolutny, prawda jako posłannictwo to jego *dlasobność,* samowiedza absolutna. Połączenie, sharmonizowanie, utożsamienie żywiołów wsobności i dlasobności narodowej w jeden ustrój nadrzędny, to nic innego, jak ideał *kultury absolutnej,* która jest formą prawdy, wyrażającą w pełni wszechstronnej i doskonałej wysiłek wartościotwórczy narodu, jako osobowości duchowej, ogniskującej w sobie indywidualność (jednostkę) i powszechność (ludzkość). Wszystkie narody dążą do stworzenia takiej kultury, lecz jeden tylko zwycięży w tym wyścigu, jako twórca kultury absolutnej, wobec której inne kultury narodowe pozostawać będą w relacji takiej, jak planety do słońca. A więc: jeden tylko naród stworzy prawdziwą i doskonałą ideokrację, wobec której inne ideokracje narodowe będą tym, czym prawdy względne w stosunku do prawdy absolutnej. — Oto w kilku zdaniach cała filozofia IDEOKRACJI.

Idea rządu prawdy wiąże się z ideałem siły, potęgi prawdy, a więc z zagadnieniem jej władania, imperium; zaś idea nadrzędności prawdy postuluje ideał służby, *poświęcenia dla prawdy,* z czym łączy się zagadnienie ofiarnego, pełnego miłości stosunku do prawdy, będącego warunkiem postawy mesjanicznej, posłanniczej, Poświęcenie dla prawdy i potęga prawdy, to podstawa moralna ideokracji, to baza, na której naród budować może prawdziwą spójnię duchową swojej wolności i dlasobności, czyli łączność najgłębszej intuicji swych przeznaczeń dziejowych ze świadomością swego posłannictwa. Poświęcenie dla prawdy i potęga prawdy pozostają w ścisłym związku ze sobą. Bez poświęcenia dla prawdy, rozbudzonego w elicie i w masach polskich, nie stworzymy ustroju, w którym prawda miałaby realną siłę, moc autorytetu i rozkazu. A taki właśnie ustrój jest kształtem moralno politycznym kultury absolutnej.

Zadaniem naszym, zadaniem jutrzejszej Polski jest: *stworzyć nowy ustrój — polityczny i religijny — świata moralnego.* Dopełnienie tego nie jest możliwe bez rozwiązania dwu kardynalnych zagadnień: a) problematu WŁADZY, czyli sprawowania imperium nad ludźmi i narodami, b) problematu MIŁOŚCI Boga i bliźniego, w warunkach współżycia między zbiorowiskami ludzkimi, tj. sprawowania posłannictwa przez narody. W samej rzeczy, problemat władzy politycznej, jej zasad, atrybutów i organizacji oraz problemat moralności międzynarodowej, — to dominanta całej ery nowoczesnej, od rewolucji francuskiej i prób reformatorskich Napoleona I-go, aż do naszych czasów.

Była w dziejach ludzkości epoka, w której problemat *władzy* górował nad wszystkim. Było to w czasach klasycznych, gdy z chaosu walk republik i tyranij greckich, oraz plebejatu i patrycjatu rzymskiego, rodziły się i dźwigały powoli idee obywatelstwa i heroizmu, idee państwa i ojczyzny, idee sprawiedliwości i prawa. Idealna koncepcja platońskiej „Rzeczypospolitej“, rządzonej przez filozofów i realny systemat imperium absolutnego, zbudowany przez Rzym cezarów, — oto synteza problematyki

moralno-politycznej owej epoki. Była to jakby antycypacja idei ABSOLUTU, jako zasady stałej, wszechmocnej i niewzruszonej, na której stać powinien jak na granicie cały ustrój ludzkości. Możnaby nazwać ten uniwersalny substrat duchowy świata ówczesnego *zasadą apollińską*, słoneczną. Słońcem był Cezar— bóg, symbol nieprzemożonego autorytetu władzy, o którym Chrystus powie z uśmiechem mądrości nadludzkiej: „Oddajcie co cesarskie cesarzowi, a co boskie Bogu". W oparciu o te słowa Chrystusa wyznawcy jego podniosą bunt przeciw powszechności zasady apollińskiej, ograniczając uległość swą wobec władzy tym jednym zastrzeżeniem: Cezar — nie jest Bogiem.

I była też inna epoka historyczna, w której problemat *miłości* wysunął się na miejsce naczelne. Było to w czasach chrześcijańskiego średniowiecza, gdy wśród rumoru walącej się Romy cezarów i w kotłowisku wędrówki narodów kształtował się typ wyznawcy i męczennika, ideały cnoty i świętości, idee kościoła i zaświata. Wiarę prostaczków postawiono tam wyżej niż mędrców z platońskiej „Rzeczypospolitej", a miłość Boga i bliźniego ponad władzę ziemską Cezarów. Króluje tam w aureoli nadprzyrodzoności idea Słowa boskiego, które stworzyło ten świat a umiłowawszy go, wcieliło się w Człowieka, aby świat zbawić. I, gdy w epoce poprzedniej prym dzierżyła zasada apollińska, rzec można: moralno-polityczna, tak tu decyduje o klimacie duchowym ludzkości postawa moralno-religijna, *zasada chrystusowa.*

Głębokie przeciwieństwo metafizyczne tych dwu zasad wykrystalizowało się stopniowo z magmy dziejów i przejawiło się najjaskrawiej dopiero w erze współczesnej. Jej tajemnicze korzenie sięgają aż tam, do głuchej walki duchowej między zasadą *władzy* i siły in universali, a między zasadą *miłości* i poświęcenia in universali. Powstaje tedy arcy-problemat: *jak uzgodnić ze sobą te dwie zasady: chrystusową i apollińską, by — nie tracąc swego metafizycznego charakteru — utożsamiły się w jednej idei nadrzędnej, jako platformie nowego ładu moralnego, związującego ze sobą ściśle politykę i religię, państwo i kościół, człowieczeństwo i boskość.*

Wizja takiej tożsamości najwyższej jest ośrodkiem dynamicznym i momentem kulminacyjnym całego teatru Wyspiańskiego, gdzie w „Wyzwoleniu" antynomia PAŃSTWA I KOŚCIOŁA, zasady apollińskiej i chrystusowej, występuje z tragicznym natężeniem (Konrad i Geniusz), a w „Akropolis" zostaje rozwiązana w idei Salvatora (Chrystus-Apollo), wjeżdżającego w słonecznym rydwanie na świętą górę Wawelu.

Harmonię tych dwu szczytowych zasad całego świata moralnego ustanowić może jedynie naród mesjaniczny w imperium mesjanicznym, przy pomocy zasady trzeciej, którą jest rząd i nadrzędność *prawdy*. Prawda bowiem jest tutaj jednocześnie motywem poświęcenia dla narodu i bazą potęgi imperiotwórczej państwa. Zasada chrystusowa t. j. miłość prawdy jest tu warunkiem zasady apollińskiej, t. j. potęgi prawdy. Dwa żywioły, które w historii Polski były ze sobą w stałej walce, przenikają się wzajemnie w tej nowej postawie duchowej i koncepcji ustrojowej. Ustaje zaciekły bój, jaki prowadził u nas w ciągu wieków naród ze swą władzą polityczną (pacta conventa, liberum veto, „Polska nie rządem stoi" itp), a władza z anarchiczną samowolnością narodu, pozostającego w ściślejszej symbiozie z kościołem i religią niż z państwowością własną.

Tę walkę narodu-kościoła (zasady chrystusowej) ze swą władzą polityczną (zasadą apollińską), i naodwrót, walkę czynnika rządzącego z narodem, sięgającą początków historii polskiej, usymbolizował Wyspiański w konflikcie Biskupa z Królem, w „Skałce" i „Bolesławie Śmiałym". Trumna św. Stanisława w „Akropolis" jest symbolem pogrzebanej przez długie wieki misji moralno-religijnej narodu, misji Polski jako „kościoła duchowego" świata, nad którą wzięła górę misja moralno-polityczna, zasada władzy, potęgi, imperium. Sam Wawel jest w teatrze Wyspiańskiego alegorią *ery polskiej* w dziejach świata, ery harmonii pierwiastka ziemskiego z nadprzyrodzonym, czyli zasady apollińskiej z zasadą chrystusową. Wyspiańskiego „teatr Słowa", „teatr stającej się historii" jest rewelacją polskiego i słowiańskiego *mitu*, polskiego ideału kultury absolutnej, tak jak dramat muzyczny Wagnera — i wagneryzm w ogólności — był rewelacją mitu germańskiego nowych Niemiec.

Od uznania polskiego mitu i ustanowienia ideokracji do przeistoczenia Polski w prawdziwy naród mesjaniczny w imperium ideokratycznym drogą jeszcze daleka i żmudna. Trzeba naprzód rozwiązać merytorycznie, w stosunkach wewnętrznych, problemat władzy, czyli potęgi prawdy i problemat miłości czyli poświęcenia dla prawdy. Problemat pierwszy sprowadza się do antynomii podstawowej „prawa bożego" i „prawa ludzkiego" (czyli „władzy od góry" i „władzy od dołu"), o której tu wielokrotnie była mowa; i klucz do tego rozwiązania leży w t. zw. *ustroju antynomialnym*, ustanawiającym prawnie równorzędność obu tych zasad i równość praw obozów politycznych, które je wyznają: obozu neo-nacjonalistycznego i neo-imperialnego. Problemat drugi znowuż da się sprowadzić do antynomii rozumu i wiary, czyli Cognosco i Credo religijnego, zaś rozwiązanie jego tkwi w *organizacji ideokratycznej* narodu, nadającej mu charakter mesjaniczny i apostolski, charakter już nie „zakonu etycznego", lecz prawdziwego „kościoła wojującego" prawdy, podejmującego samorzutnie misję dopełnienia w świecie prawd i nakazów religijnych, które dotąd były tylko przedmiotem wierzenia i kontemplacji.

Aksjomaty polityczne ustroju antynomialnego:

1) władza nie należy do narodu;

2) źródłem władzy jest transcendentny autorytet prawa moralnego;

3) prawo moralne, w zrzeszeniu prawno-politycznym, rozszczepia się na prawo ludzkie (unormowane konstytucją) i prawo Boże;

4) państwo jest systemem równowagi między prawem ludzkim czyli zasadą wolności obywatelskiej („władza od dołu") a prawem Bożym czyli zasadą przymusu („władza od góry");

5) cała władza, czyli prawo i obowiązek realizacji prawdy, skupia się w osobie zwierzchnika; a instytucje ustrojowe są tylko jej emanacją (rząd reprezentuje prawo Boże, parlament prawo ludzkie itd.);

6) zwierzchnik reprezentuje naród w obliczu Boga i autorytet Boży przed narodem;

7) reprezentacją czystego elementu praw mo-

ralnych, jako źródła zasady boskiej i ludzkiej, jest Ciało Kierownicze, jako czynnik równoważący i regulujący, który nadaje państwu kierunek ku prawdzie i sprawiedliwości, jako celom najwyższym.

Aksjomaty religijne organizacji ideokratycznej narodu:

1) miłość prawdy i służba prawdzie jest duchem jedności narodowej;

2) motorem tej miłości jest wysiłek samostwórczy narodu, czyli pęd do poznania się jako „myśl Boża" i dopełnienia się w dziejach, jako „obowiązek zbiorowy";

3) wysiłek samostwórczy narodu rozszczepia się na wysiłek posłanniczy (neo-nacjonalizm) i wysiłek imperiotwórczy (neo-imperializm);

4) naród jest ustrojem organicznej symbiozy nakazu posłanniczego (Credo narodowe) i nakazu imperiotwórczego (Cognosco narodowe);

5) Słowo misyjne narodu wciela się w jego elitę duchową, która winna być jego myślą odkrywczą i jego twórczą wolą;

6) elita duchowa (mesjaniczna). narodu roznieca w nim wiarę w jego misję dziejową i wytycza mu zadania;

7) wódz i zasada wodzostwa jednoczy w sobie element (obóz) posłanniczy i element (obóz) imperiotwórczy, prowadząc je do czynu zbawczego, czyli do walki ze złem (przede wszystkim z fałszywym mesjanizmem żydowskim) i do odrodzenia ludzkości (tj. do chrystianizmu spełnionego).

Uwaga: W ustroju antynomialnym państwa Ciało Kierownicze jest wiązadłem bezpośrednim państwa z narodem, bo zwierzchnik powołuje je z pośród elity duchowej narodu, jako reprezentację jego prawdy i misji dziejowej. Podobnież, w organizacji politycznej narodu, wódz jest wiązadłem bezpośrednim między narodem a państwem, gdyż jeden i ten sam człowiek pełni w ustroju ideokratycznym funkcje wodza narodu i zwierzchnika państwa (gdyby specyficzne warunki zmuszały do podziału tych funkcyj między dwu ludzi, winna istnieć pomiędzy nimi ścisła harmonia i współpraca).

Ustalenie aksjomatów politycznych i religijnych ideokracji prowadzi nas do sharmonizowania zasad apollińskiej i chrystusowej na jeszcze wyższej płaszczyźnie. Stwierdziliśmy uprzednio, że apolliński ideał władzy i mocy symbolizuje niejako „ziemskie królestwo człowieka", a więc *zasadę ludzką*, doczesną i przyrodzoną, zaś ideał chrystusowy miłości i poświęcenia reprezentuje jakby „Królestwo Boże", mit civitatis Dei, a więc *zasadę boską*, wieczystą i nadprzyrodzoną. Tymczasem aksjomat transcendentnego pochodzenia władzy, umieszcza kategorycznie źródło jej *w Bogu*, związując nierozerwalnie sferę moralno-polityczną (zasada ludzka) ze sferą moralno-religijną (zasada boska). Podobnie aksjomat wysiłku samostwórczego narodu, jako źródła miłości transcendentnej Boga i bliźniego umieszcza punkt ciężkości zasady chrystusowej w duszy ludzkiej, *w człowieku*, jako samorzutnym i odpowiedzialnym członku powszechności narodowej, związuje tedy sferę moralno-religijną (zasada boska) ze sferą moralno - polityczną (zasada ludzka).

Widzimy już, że takie rozwiązanie problematu władzy i autorytetu w imperium mesjanicznym jest niczym innym jak odkryciem i ustanowieniem in concreto owej *zasady niewzruszalnej nowego ładu moralnego*, której ludzkość szuka tak gorączkowo w swej współczesnej, permanentnej rewolucji ustrojowej, wśród krwawych wstrząsów politycznych i socjalnych. Uznanie prawno-konstytucyjne tej zasady za podstawę rządów w państwie ideokratycznym jest proklamacją ideału PRAWDY bezwzględnej, jako duchowego kośćca całego tego systemu. A rozwiązanie powyższe problematu miłości twórczej w narodzie posłanniczym jest samowytworzeniem się nowej społeczności duchowej, samorzutnego i organicznego zarazem *związku duchów wolnych* (o jakim mgliście marzyła „Polska szlachecka"), podejmując świadomie misję wcielenia w życie ideałów zbawczych Chrystusa, misję organizacji rzeczywistego, nie mitycznego, „Królestwa Bożego na ziemi". Ta nowa postawa duchowa wytyczająca kierunek czynu narodowego, mieści w sobie ideał DOBRA bezwzględnego, ideał religiotwórczy w najgłębszym znaczeniu tego terminu, proklamujący naród najdoskonalszym narzędziem odrodzenia duchowego jednostek i całej ludzkości.

W tej wzniosłej zasadzie ładu i w tej nowej, twórczej postawie duchowej odnajdujemy z łatwością z jednej strony pierwiastek metafizycznego „absolutum dominium", z którym wiódł niegdyś homeryckie boje „naród szlachecki", a z drugiej strony pierwiastek metafizycznego „liberum veto", którego widmo straszyło naszych królów i kanclerzy, obracając w niwecz ich wysiłki umocnienia autorytetu władzy i uniezależnienia woli państwotwórczej od chimerycznych dążności fakcyj i jednostek. W koncepcji „narodu mesjanicznego w imperium ideokratycznym" spór odwieczny tych dwu pierwiastków metafizycznych ducha polskiego zostaje nareszcie zlikwidowany, i to nie formalnie tylko, lecz od wewnątrz, w najgłębszych złożach instynktu plemiennego, zaspokojonego tutaj w swym najpierwotniejszym, nienasyconym dążeniu.

Tajemniczy ten spór metafizycznej zasady władzy z metafizycznym prawem narodu do wolności samostwórczej symbolizuje Słowacki w „Samuelu Zborowskim" w powtórnej sprawie sądowej Samuela z kanclerzem, wytoczonej przed trybunał Boga i społeczności anielskiej, widząc rozwiązanie tej *antynomii polskiej* dopiero w przyszłym jakimś Nowym Jeruzalem polskim, którego zapowiedź widział poeta w Apokalipsie.

Koncepcję narodu mesjanicznego (posłanniczego) można wyrazić najpopularniej w idei moralno-religijnej: *zbawienie jednostek i ludzkości poprzez naród, wcielający czynnie Słowo Boże w historię i kulturę*. Ściślej: samostwarzający się naród mesjaniczny, jako zbiorowy podmiot metafizyczny historii i kultury, ustanawia — w integracji indywiduów i powszechności — nowe concretum duchowe i związek moralno - społeczny, którego formę przedmiotową tworzy imperium ideokratyczne. Dopiero taki naród mesjaniczny — w państwie ideokratycznym— jest urzeczywistnieniem mitu wieczności i nieśmiertelności narodu, dzięki strukturze i dynamice *procesu samostwórczego*, który stanowi właściwy dlań typ życia historycznego, odpowiadający wnętrznie potencjałowi metafizycznemu narodu, jako „myśli Bożej".

Co to znaczy: samostwarzanie i proces samo-

stwórczy narodu? Znaczy to, że *naród stając się mesjanicznym, czyli odkrywając swą podmiotowość (moralność) i przedmiotowość (rzeczywistość) absolutną, dźwiga się ponad swój byt zastany, w próżnię potencjalności i bezokreślności, gdzie zaczyna się on wytwarzać i określać sam, jako wsobność i dlasobność wyższego rzędu.*

Cała historia dotychczasowa narodu, wraz z wyprodukowanymi już przezeń formami kultury, staje się dla narodu, osiągającego mesjaniczność, już tylko substratem ideowym i punktem wyjścia do wyższej syntezy. Przyszła historia narodu mesjanicznego, to nieskończone *continuum generacji*, polegającej na wytwarzaniu coraz to nowych i wyższych problematów, odkrytych w rdzeniu metafizycznym „ja“ narodowego, oraz na rozwiązywaniu ich w formach przedmiotowo - ustrojowych.

Naród mesjaniczny w państwie ideokratycznym, jako samostwórczość nieograniczona, wieczyście czynna „myśl Boża“, jest *neutralizacją podstawową i pierwotną prawdy bezwzględnej i dobra bezwzględnego*, czyli boskiej zasady ładu i ludzkiej zasady wolności twórczej. Boska zasada ładu przeznacza naród zgóry do takiej a nie innej roli w dziejach świata, predestynuje go *koniecznie* do realizacji dzieł, których żaden inny naród wykonać nie może; zaś ludzka zasada wolności twórczej zobowiązuje go wewnętrznie do *tworzenia siebie* po przez realizację tych narzuconych przez celowość wyższą dzieł narodowych. Naród tworzy siebie, odkrywając co raz to głębsze prawdy metafizyczne — filozoficzne, religijne i artystyczne — i przyjmując na siebie dobrowolnie posłannictwo wcielenia ich w życie. Ta potencjalność narodu mesjanicznego stanowi jego *znamię moralne*,

---

Antoni Madej

Orka

Górą płyną obłoki. Dołem srebrny pług
odwala czarne skiby, jak dzwoniący topór
chropawą korę sosen w gąszczu mrocznych puszcz.
Dysząca, poruszona tęsknotą rodzenia,
obnaża ziemia łono w bolesnych westchnieniach.
Dymi ciepły, wiosenny, życiorodny kurz
w dalekim, zagubionym horyzoncie włók
deptanych oracza stopą.

Musuje cierpka świeżość z rytych ostrzem skib,
z odwracanych warstw gleby jędrnej, wypoczętej.
Nizinny pogłos orki w lasu cień się niesie:
pług dzwoni, szumi brona i wozów skrzyp.
Niematerialna jak wiew w zielonym bezkresie
cicha czułość rozchyla usta zaciśnięte.

Kare konie purpurą zaróżowił świt,
słońce gra w lustrze sierści, w mosiądzu uprzęży;
przestrzeń płonie łagodnie pogodnym szafirem;
jastrząb w górze zakrążył, runął z dzikim skwirem
w wądół, co tarniną jak obłokiem skwitł.
Westchnął oracz:

— Panie, (tak cicho myślał). po wiosennych polach
w blasku chodzący, który trzymasz w ręku nasz człowieczy los,
święć się Imię Twoje, nie wódź nas na pokuszenie,
prowadź w czynów pokorę, w trud pracy cierpliwy,
nie pomnij nam upadków i grzechów zdradliwych,
karzącej ręki wstrzymaj sprawiedliwy cios,
ale nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola
jako w niebie tak i na ziemi.

Bruzdą biegnącą szparko w oddal nieboskłonu
podskakuje namiętnie kruk, gawron i wrona.
Od świtu aż po zachód gasnący zórz łuną
rytmem pracy cierpliwej godziny gnia suną;
lecz myśli, jak strzały wyrzucane z cięciw,
w zastygły potok czasu, w ocean pamięci.

Orał ziemię praojciec. Krople ciepłych łez
padały w ciężką grudę. Tchnęły gorzko smugi.
Po równinach pól sinych, we mgle siwych wierzb
harda tłukła się dola jak bezdomny pies.
Zachód płonął purpurą, słupem ognia rósł.
Schodził z mieczem ognistym z nieb gniewny Cherubin:—
— Chwila sądu się zbliża, strzeżcie się zagłady.
Zniewoli was nieszczęście i pomór i głód.
Kusiciel się objawi zjawiskami zórz.
Wypełzną z jaskiń węże zdradliwe i gady.
Dzień zatraty zapowie W i e l k i, K r w a w y W s c h ó d. —

Syk ostry lemiesza. Szczerk pługa o kamień,
o kość spróchniałą czaszki, potrąconej nogą,
i cisza. W dzwon nieba uderzy
kruche serce skowronka — rozełka się dzwon:
— Ziemio dobra, piastowa, ziemio jak pierś Boga
otwarta wszystkim wichrom, (taką widział Norwid).
Kto mężny, tutaj wytrwa. Kto wytrwa, od wroga
Cię obroni, całą w niebo porwie,
jak kolumnę wspaniałą, posąg heroizmu,
ziemio, ziemio szeroka, Ojczyzno, Ojczyzno.—

Od horyzontu po horyzont zagarnął pług
zorany świat.
Wiatr w oczy uderza, dobry, rzeźwy wiatr,
nadyma lnianą koszulę jak płócienny żagiel,
słońce piersi całuje nagie,
spłaca ciału mistyczny dług.

Spod bruzd spiętrzonych zgasłe Wieki patrzą.
Nakazująco, porywczo, władczo
o fale wspomnień bije twardy nakaz:
— Środkiem zgiełku przechodzić, lecz nie trwać w zatracie,
nie walczyć o serce, by uwikłać duszę,
nie pogrążać się w smutku, a gdy trzeba płakać,
żalu ogień samotny niech złuszczy i skruszy
rdzę słabości — duch nędzę opłaci
i wśród mroku, upadku i zguby chaosu
sierpem woli wykosi ścieżkę praw i losu,
dojrzeje do wielkości i wybuchnie z klęski
jak wiosna, jak uroda, jak piorun zwycięski.—

Na Anioł Pański dzwonią. Nad cienistość ziemi
wzlatują płatki dźwięków, nad obłoczny wądół:
Błękit dnia się pogłębia o anielski ton.
Zaduma gliny szarej, piasków, czarnoziemi
pluszcze ciszą o brzegi Niebieskiego Lądu,
gdzie włada, gdzie króluje, gdzie rozrządza On.

Treścią żywą nabrzmiałe, pełnią wiary żywe,
dźwięki dzwonu się sypią jak złocisty grad.
— Boże, Oraczu gwiezdny, w orce sprawiedliwej
Pługiem Mocy przeoraj świat.

jego godność i wzniosłość współpracownika Bożego, jego urząd apostoła i rycerza Prawdy, ugruntowany na wolnej woli narodu, która jest niczym innym, jak *pełnieniem wolności twórczej pod kierownictwem rozumu absolutnego (Ducha Świętego)*. -Na tej aktualności sumienia zbiorowego, dyktującego narodowi imperatywnie jego obowiązki i zadania, polega podmiotowość absolutna narodu mesjanicznego. Zespół dzieł znowuż, do jakich naród taki jest a priori przeznaczony przez Boga, w funkcji imperium ideokratycznego, szerzącego w świecie rząd prawdy, określa jego miejsce w świecie — w przestrzeni i czasie — i nadaje mu przez to *prawdziwą rzeczywistość*, czyli absolutną przedmiotowość, której nic zzewnątrz nie może naruszyć i zniszczyć. Naruszenie czy zniszczenie to nastąpić może tylko wówczas, gdy naród przez karygodne lenistwo nie chce dopełnić swoich przeznaczeń lub też pozwoli się owładnąć siłom destrukcyjnym *złej zasady*, które zbuntują go przeciw celom Bożym i jego własnym obowiązkom historycznym.

Z wnętrza swej jaźni zbiorowej, tj. z tradycji historycznej i z kreacyj swej myśli spekulatywnej czerpie naród coraz to wyższe i doskonalsze problematy i ideały posłannicze, które następnie rozwiązuje i realizuje w swych pracach herkulesowych i dziełach narodowych. Poprzez odkrywczość problematów posłanniczych naród *wytwarza siebie*, poprzez rozwiązywanie ich w dziełach wysiłku zbiorowego naród *poznaje siebie*, oglądając się in concreto w formach bytu, przeznaczonych mu przez tajemniczą Opatrzność Bożą.

Gdy dana koncepcja czy idea powzięta przez naród, została zrealizowana w jakimś fakcie dokonanym czy instytucji ustrojowej, przybierając postać gotową i skończoną, naród rozpoznaje odrazu niedostateczność i epizodyczność tego dzieła, w porównaniu ze swą nieskończoną wolnością twórczą i ze swymi wieczystymi ideałami moralnymi Jest to dlań pobudką do nowego wysiłku samostwórczego, który podejmuje elita duchowa narodu, odkrywając wyższe jeszcze problematy, wynikające z posłannictwa narodu mesjanicznego. Ciało Kierownicze, będące w państwie ideokratycznym emanacją duchowej elity narodu, nadaje tym nowym problematom postać publiczno - prawną, nastawiając ogólny tok życia państwowego na ich realizację w polityce wenętrznej i zagranicznej imperium, a następnie motywując wolę zwierzchnika, który przystępuje do ich wykonania. Leez nowe dzieło okazuje się znowuż tylko etapem i cząstką posłannictwa narodowego. Proces ten powtarzać się może w nieskończoność. Posłannictwo narodu, zogniskowane chwilowo w danym problemacie nadrzędnym (jakim dziś jest np. idea „imperium Europy Środkowej“), jest *zawsze większe* w stosunku do wszelkich postawionych sobie przez naród problematów i zadań. I każde zrealizowane dzieło narodowe, czy to społeczne, czy polityczne lub kulturalne, jest *zawsze mniejsze* od całokształtu przeznaczeń, jakie celowość boska obmyśliła dla narodu. Ta *nadrzędność posłannictwa*, czyli narodu, jako kreacji mesjanicznej z jednej strony, i ta *nieograniczoność przeznaczenia*, czyli samegoż procesu generacji mesjanicznej narodu — z drugiej strony, — oto gwarancja *wielkości transcendentnej* narodu i źródło jego *dynamiki genetycznej*.

W stosunku problematu do dzieła tkwi istota potęgi samostwórczej narodu mesjanicznego, nieograniczoność jego życia historycznego, podstawa jego wieczności i nieśmiertelności, mglisto przeczuwanej przez romantycznych teoretyków idei narodowej. Ilość i rozpiętość problematów jest bowiem nieskończona, jak nieskończony jest w swym locie rozum twórczy człowieka, wsparty o Słowo Boże; jedyną ich miarą może być tylko hierachia ich ważności i wysokości, *podporządkowanie problematów*. Podobnie ilość i rozpiętość dzieł narodowych nie ma granic poza wolą Boga, który ustalił je na całą wieczność kanonami i rytmem przeznaczenia; jedyną tedy ich miarą jest ustalanie ich związku wzajemnego, *koordynacja dzieł narodowych*, sztuka ich harmonijnego zestroju, posiadająca swą specyficzną logikę i konieczność praktyczną.

„Genezis z ducha“ narodu mesjanicznego, jego dynamika genetyczna, polega na ruchu samostwórczym narodu „w czasie i przestrzeni“ jego problematyki posłanniczej i jego dzieł historyczno-kulturalnych. A źródłem i motorem tego ruchu jest dążność wieczysta narodu do rozwiązania antynomii dwu jego naczelnych ideałów: prawdy bezwzględnej i dobra bezwzględnego *w tożsamości absolutnej*. Naród nie nasyci swego niepokoju metafizycznego, póki nie osiągnie najwyższego ideału bytu: *związku człowieka z Bogiem*, rozerwanego niegdyś przez fałsz i zło, przez upadek moralny ludzkości, który religia zwie „grzechem pierworodnym“. A związek ten przywrócić in concreto można tylko w jakimś „królestwie Bożym na ziemi“, w społeczności „świętych obcowania“, gdzie „absolutum dominium“ władzy boskiej zgodzone zostanie najdoskonalej z „liberum veto“ ludzkiej samorzutności twórczej.

W historii taki ideał transcendentny nie może być bezpośrednio urzeczywistniony. Naród może się doń zbliżyć tylko pośrednio, przez sam ten ruch wieczysty, dążący do utożsamienia zasady boskiej i ludzkiej, przez uznanie tej „genezis z ducha“ za *zasadę kierowniczą*, regulatora swego bytu. Ale naród mierzy wciąż wyżej, ponad historię, w pełnię kultury absolutnej, w jakąś apokatastazę duchów, w jakieś: „bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi“, gdzie ten i tamten świat zespolą się w jedność, i gdzie antynomia Prawdy bezwzględnej i Dobra bezwzględnego jest już a priori rozwiązana, w tożsamości *bogo - człowieczeństwa*, w rzeczywistości Piękna najwyższego. Ten „trzeci świat moralny“, świat harmonii doskonałej niebios i ziemi — zwany przez Norwida w „Fortepianie Szopena“ raz „erą dopełnienia“, to znów „Polską przemienionych kołodziejów“ — pojęty jako *zasada ustanowcza*, konstytucja duchowa narodu mesjanicznego, jest poprostu tkwiącą w nim jako w transcendentnej „myśli Bożej“ pełnią warunków kreacji nowego ładu moralnego.

Te dwie zasady: kierownicza i ustanowcza, jako principia dynamiki i statyki absolutnej narodu, stanowią jakby tezę i antytezę, dwa składniki *antynomii mesjanicznej*, antynomii już tylko pozornej, bo rozwiązującej się sama przez się w idei *celowości absolutnej narodu*. Teza brzmi tutaj: Antynomia Prawdy bezwzględnej i Dobra bezwzględnego w duchu narodu jest nierozwiązalna (nieskończona). I antyteza brzmi: Antynomia Prawdy bezwzględnej

i Dobra bezwzględnego w duchu narodu jest rozwiązana (skończona). Przeciwieństwo tezy i antytezy znika, gdy stwierdzamy, że *antynomia dwu naczelnych pierwiastków ducha narodowego jest nierozwiązalna w planie immanentnym, w świecie chrematycznym, a rozwiązana w planie transcendentnym, w sferze achrematycznej.* Relacja tych dwu perspektyw metafizycznych ustanawia teleologię absolutną narodu, tzn. pełny systemat przeznaczenia i posłannictwa narodowego.

Naród tak pojęty, jest pełną osobowością duchową, podmiotem nieskończonej wynalazczości problematów i produktywności dzieł autokreacji narodowej. Jest to już naród, istniejący niejako w obu sferach rzeczywistości: chrematycznej i achrematycznej, naród absolutny, NARÓD W BOGU, którego żywot wieczysty i nieśmiertelny jest odpowiedzią samemu sobie na pytania: „Na co Bogu potrzebna Polska?“ i „Dlaczego istnieję i działam?“.

Jerzy Braun

Uwodzenie Melpomeny

IV.

Cóż moglibyśmy powiedzieć o teatrze naszym?

Jakkolwiek *w Polsce* nie mieliśmy wypadków rewolucji na miarę francuskiej czy bolszewickiej tak, że nie można mówić o naszych doświadczeniach w dziedzinie rewolucyjnego teatru polskiego, — to jednak warto zapoznać się z rolą samego teatru w okresie powstań narodowych, gdyż stworzyły one warunki w każdym razie zbliżone do rewolucyjnych, niosły bowiem w sobie obalenie istniejącej władzy — choć zaborczej. Rzecz prosta, z tego narodowego i wyzwoleńczego charakteru powstań wynika zwężenie terenu naszych obserwacyj, gdyż jeśli postawiliśmy sobie pytanie o roli rewolucji w teatrze, to oczywiście głównie chodzi nam o gwałtowne przemiany społeczne, których przewodnicy i teoretycy sądzili, że i teatr jest tą dziedziną, którą przerobić mają gwałtownie — lub też jak widzieliśmy, — że teatr będzie tą trybuną, z której hasłem nowego ładu silniej uderzą w masy.

Z tym więc zastrzeżeniem przypatrzmy się teatrowi warszawskiemu w dobie powstań, posługując się tu ostatnio wydaną pracą Henryka Eilego.

Jeśli chodzi o czasy *kościuszkowskiego* powstania, to podkreślało się już dawniej fakt, że (podobnie, jak Wesele Figara Beaumarchais‘ego w stosunku do teatru francusk.), — przedstawienie *Krakowiaków i Górali* Bogusławskiego silnie wpłynęło na opinię publiczną w kierunku podniesienia ruchu w Warszawie po wybuchu powstania w Krakowie, po pierwszych powodzeniach Kościuszki pod Racławicami. Sztuka sama będąca przeróbką z niemieckiego, znana nam zresztą z obecnych wznowień teatralnych, nie niosła w sobie tematycznie żadnych haseł heroicznych, czy podniecających, jednak powszechny zwyczaj wplatania w osnowę spektaklu aktualnych kupletów pozwalał aktorom na wiele politycznych aluzyj, kierowanych nieraz wyraźnie do przytomnych na widowni osób ze świata politycznego. Jeśli dodamy jeszcze, że Bogusławski i wielu aktorów jego teatru należało do sprzysiężenia, zrozumiemy, że istotnie przedstawienia te mogły pobudzić umysły. Świadkowie trzech przedstawień, które się odbyły, podkreślają, że publiczność z wielkim zapałem przyjęła te warianty, które rychło przeniosły się na ulicę, spopularyzowały się niebawem i rzeczywiście silnie wpłynęły na powstaniowy nastrój. Sprzeczności dotąd niewyjaśnione istnieją tylko w stosunku do daty premiery Krakowiaków. Jedne relacje twierdzą bowiem, że premiera odbyła się przed wybuchem powstania w Krakowie, inne, że miała miejsce po zwycięstwie racławickim. Jakkolwiek sprzeczność ta wydawać się musi dość dziwna, a świadkowie naoczni nie powinni się tak mylić, gdyż różnica w datach tak ważnych wypadków musiała się wyraźnie odbić w tym wydarzeniu teatralnym — przecie pozostanie niezbitym faktem, że mamy tu przed sobą ciekawy przykład agitacji przez teatr i to agitacji nie tyle zorganizowanej, ile raczej odruchowej, spontanicznej i powszechnej.

Jakkolwiek teatr po wybuchu powstania przestał grać, a aktorzy chwycili za karabin, to jednak Rada Najwyższa na sesji 29.IX. 1794 r. uznawszy, iż „widowiska publiczne skutecznie przykładają się do rozszerzenia ducha narodowego i zdolniejsze są do zapalania umysłów, niż najwymowniejsze maksymy i opisy, uznała potrzebę otwarcia teatru publicznego. Chcąc tedy ducha narodowego rozszerzyć i obywateli do idei patriotycznych zachęcić, wyznaczyła na otwarcie teatru złotych 6000 i obowiązała obywatela Bogusławskiego ażeby cenę biletów do połowy zmniejszył“.

Przedstawienia rzeczywiście wznowiono, ale rychło kapitulacja stolicy położyła im kres.

Mamy więc analogię z teatrem rewolucyjnym, w rozumieniu funkcji publicznej teatru, aż nader wyraźną.

Teatr Narodowy w okresie poprzedzającym powstanie *listopadowe* parał się repertuarem dość podłym, przy czym nie należały do wyjątków popisy siłaczy, tancerzy, czeskich muzykantów, a nawet i psów tresowanych. Ten wybór repertuaru świadczy o t.zw. ówcześnie „kieszonkowym interesie“, który ten teatr uprawiał dla utrzymania się finansowego. Repertuar poważny nie miał frekwencji, być może także i z tej przyczyny, że czujna cenzura wyjaławiała go z elementów żywych. Wystawiano jednak historyczne tragedie Felińskiego, Wężyka, Humnickiego.

Wybuch powstania przyniósł zniesienie cenzury. 29.XI. 1830 r. Teatr Narodowy był nieczynny, natomiast grał Teatr Rozmaitości błahe zresztą krotochwile, których nieukończono, gdyż wybuch powstania wtargnął tutaj. Znana jest scena szukania przez spiskowych Chłopickiego, strawestowana swobodnie w Nocy Listopadowej Wyspiańskiego.

Następnie teatry były nieczynne do 5 grudnia, poczym Teatr Narodowy wznowił... Krakowiaków Bogusławskiego, w czym widać podkreślenie patrio-

tycznego znaczenia, jakie tej sztuce nadawano. Tak też przedstawienie to urosło do wielkiej radosnej manifestacji patriotycznej, skierowanej do wojska, do Wysockiego i do świeżego dyktatora Chłopickiego.

Uderza tu (jak w kościuszkowskim powstaniu), ten osobliwy typ przedstawień patriotycznych, nie gwałtem (jak gdzieindziej) naginanych do potrzeb chwili historycznej, lecz będących tylko impulsem do zbiorowych, samorzutnych manifestacyj, wyraźnie należących do istotnych źródeł teatru, jako miejsca powszechnych uniesień,— w zaczątkach teatru — religijnych, tu — patriotycznych. Tak dokonywała się u nas nieprogramowa, samorzutna aktywizacja widowni, o którą tak usilnie walczą teoretycy teatru sowieckiego.

Zapał i temperatura nastroju na tej premierze były niesłychane. Publiczność z uniesieniem oklaskiwała aktorów, śpiewała wraz z nimi pieśni patriotyczne, krzycząc o mazura Dąbrowskiego, o poloneza Kościuszki, przytupywała, ba — tańczyła wreszcie wraz z aktorami w ogólnym uniesieniu i zbrataniu. Wydać się to może komuś, przy całym wzruszeniu i nucie heroicznej także i płoche, ale czyż w rezultacie premiera ta nie przypomina nam owych manifestacyj radości, świąt ludowych komponowanych przez Davida lub fachowców sowieckich, czy nie widać w tym uniesieniu analogii z religijnymi manifestacjami, z których teatr historycznie wyszedł?

Na następnych przedstawieniach powtórzyły się podobne manifestacje. Wyraźnie podkreślić należy spontaniczność tych wydarzeń, gdyż jak świadczą dokumenty, dyrekcja teatru zupełnie tego skutku nie przewidywała, a prasa i publiczność często uskarżały się na brak repertuaru patriotycznego.

Jakkolwiek w opinii publicznej odzywały się surowe głosy, że nie pora na zabawę, przecież jednak w dalszym ciągu teatr był terenem żywych wzruszeń na przedstawieniach Wilhelma Tella — Schillera, Niemej z Portici, na Horacjuszach — Corneille'a i innych podobnych sztukach, apoteozujących heroiczne walki o wolność, choć dawano i repertuar lekki, mniej żywo zresztą przez publiczność przyjmowany. Ta publiczność — jak świadczą współczesne uwagi, mniej zważała na dokładność gry, ale zato wymagała rozmaitości w sztukach stosownych do ducha rewolucyjnego.

Powtórzyło się i u nas złe doświadczenie teatrów rewolucyjnych ,próbujących wywołać aktualną twórczość dramatyczną przez nawoływanie poetów do tej tendencyjnej twórczości, opartej o chwilę bieżącą. Podobnie jak we Francji rewolucyjnej, jak w Rosji bolszewickiej — próby te zawiodły i repertuar polski nie zdobył w tej twórczości żadnych pozycyj wartościowych.

W przeddzień szturmu na Warszawę grano komedię z francuskiego oraz Fredry: Damy i huzary. Okoliczność ta uwydatnia, że jak przy wybuchu powstania tak i teraz, kierownictwo teatru nie miało określonych planów, że tak powiem agitacyjnych i rola teatru ograniczyła się do poddania się nastrojom ogólnym, które też w teatrze znalazły sposobne miejsce do rozładowania się, do upowszechnienia i umocnienia ogólnego w powszechnym, zbiorowym wzruszeniu.

Mimo, iż takie wyniki na tle wielkich a nawet gigantycznych wysiłków teatrów rewolucyjnych wydają się zbyt nikłe, familiarne i pospolite, to pozwolę sobie twierdzić, że nie popadały w kolizję z istotą teatru i choć nie grzmiały jako cymbał i miedź, przecież jednak, jeśli się uważnie im przypatrzymy i sercem przybliżymy do nich — odczujemy prawdziwą artystyczną wartość tego teatru, służącego chwili dziejowej.

Powstanie 63-go roku odbiło się bardzo charakterystycznie na teatrze, ale odmiennie niż dotąd. Obóz powstańczy będąc w głuchej i zaciętej opozycji w stosunku do wszystkiego, co znamionowało ugodowość z zaborcą — przeprowadzał zdecydowany bojkot teatru, który w rezultacie nawiedzany był przez czynowników i oficerów rosyjskich i to pod przymusem. Bojkot ten był osobnym fragmentem walki z Wielopolskim, który usilnie dążył do utrzymania teatru, jako objawu normalnego życia kulturalnego, podczas, gdy przeciwnicy jego obawiali się, że grający teatr będzie objawem uspokojenia społeczeństwa, że stanie się instrumentem agitacyjnym, powstaniu nieprzychylnym.

V.

W Polsce, — w latach najnowszych, po odzyskaniu niepodległości teatr nasz przeszedł nieznaczne zmiany, będące odbiciem reform teatralnych zagranicznych, zasadniczo opartych na programach rewolucyjnych. Cała działalność Leona Schillera charakteryzuje najlepiej to pokłosie radykalnych haseł czy to repertuarowych, czy ściśle teatralnych i ich współzależność z ruchami zza naszej wschodniej i zachodniej granicy, w tym czasie, gdy moda na towar sowiecki (przypudrowany) i komunistyczny (ówcześnie niemiecki) była powszechna. Charakterystyczne jest zdanie, które o naszym teatrze wygłosił pierwszy człowiek francuskiego teatru Gaston Baty, po zapoznaniu się z eksponatami naszymi na wystawie teatralnej. Oto — nie dojrzał nic oryginalnego. Przeciwnie, uderzył go wyraźny wpływ imażynizmu à la russe i ekspresjonizmu à l'allemande.

Leon Schiller, człowiek teatru zresztą utalentowany, reprezentował u nas do ostatnich czasów ów prąd rewolucyjny teatru, jakkolwiek usiłowano go teoretycznie godzić i wiązać z tradycją. Kogo ten temat interesuje, tego odsyłam do mego artykułu pt. „Genealogia Leona Schillera" w Przeglądzie Współczesnym z maja 1937. Natomiast człowiekiem pielęgnującym tradycję naszego teatru ze szczególnym znawstwem i ze szczególnym darem artystycznym jest Juliusz Osterwa, którego przedstawienia Wyspiańskiego, Słowackiego, Norwida, Żeromskiego wolne od modnego nowinkarstwa, będą zapewne świadczyć u osób bezstronnych o wartości osiągnięć tego artysty.

Ostatnio starałem się te aktualne zagadnienia naszego teatru oświetlić w szeregu artykułów, gdyż panuje pod tym względem, przy całym ubóstwie literatury teatrologicznej, niebywały zamęt. W obszernej kampanii prasowej walczyłem o miejsce dla współczesnego dramatu polskiego w teatrze. Wyłoniona dyskusja wykazała istotnie katastrofalny stan w tej sprawie.

W osobnej rozprawce o teatrze ludowym (Przegląd Współczesny z marca i kwietnia br.), zwracałem uwagę znowu na ten zaniedbany dział i na konieczność zainteresowania nim praktycznie zwłaszcza inte-

ligencji i świata literackiego, podkreślając konieczność współżyzia tego teatru z teatrem zawodowym. Z doświadczeń teatrów rewolucyjnych wyprowadziłem jedynie pożyteczną tezę o konieczności popularyzowania teatru zawodowego i o wartości odżywczej prymitywu ludowego potrzebnego teatrowi zawodowemu. Wreszcie o potrzebie zaopiekowania się teatrem ludowym przez teatr zawodowy, — z programem symbiozy.

Poza tym we wspomnianym artykule o Schillerze, starałem się wedle mego mniemania jasno postawić jego stosunek do tradycji.

Ta sprawa bowiem wymaga jasnego postawienia. Adherenci Schillera, apoteozując jego działalność teatralną śmiało wskazują, iż reżyser ten łączy tradycję teatru polskiego zawartą głównie w t. zw. dramaturgii paryskiej Mickiewicza z postępem europejskiej formy teatralnej.

Myśl sama w sobie, jako program teoretyczny naszego życia teatralnego jest słuszna, gdyż doświadczenie wieków uczy, że formy życia i teatru oparte zasadniczo o *tradycję*, ulegają powolnym zmianom prącego naprzód *postępu*. Na rozum rzecz biorąc, trzeba by więc przy ostrożnym ocenianiu nowinek i wyczuciu o ile będą one trwałe, budować postęp teatru na drodze spokojnej ewolucji, syntetyzującej szczęśliwie *istotę tradycji* i *istotę rewolucji*. O ile nie uczyni się tego dobrowolnie, rozumnie i planowo, to wypadki same w ten sposób będą się kształtowały, gdyż jak widzieliśmy, po opadnięciu fal rewolucji wyłaniają się stare, tradycyjne formy, stosunkowo niewiele odmłodzone, oczywiście z tym dodatkiem, że wypadki pozostawione niejako samym sobie, działając ślepo, marnują wiele sił, niszczą część dorobku.

Powracając do tematu, po stwierdzeniu, że synteza tradycji z postępem jest istotnym programem teatralnym oceniam, że Schiller i jego kierunek jednak *wypaczają tradycję*, na którą powołują się, tj. dramaturgię paryską Mickiewicza. Jeśli dramaturgia ta jest właściwie pierwszą teoretyczną podwaliną naszej tradycji to jasne, że ocenić musimy tę tradycję w porównaniu z innymi narodami — jako młodą. Natomiast głęboki historyczno-filozoficzny a zarazem natchniony jej ton, czynią z niej zjawisko przerastające podobne twory, podobnie jak studium o tragedii Hamleta Wyspiańskiego , będące drugim zrębem naszej tradycji teatralnej, wybiega w swych koncepcjach daleko w przyszłość, bijąc wszelkie współczesne próby genialną i wizjonerską dynamiką myślenia.

Poza tym bowiem, nasza tradycja teatralna tak się przedstawia, że po skąpych śladach misteriów średniowiecznych, po mieszczańskiej komedii rybałtowskiej, która w XVII wieku była rodzimym rodzajem teatru, z którego mógł wyróść teatr polski — uległ nasz teatr zalewowi teatru zachodnio-europejskiego, zwłaszcza w dobie stanisławowskiej — tak, że dopiero romantycy dali pierwsze oryginalne — mimo wpływów — formy dramatu i teorii teatru, jak dotąd w minimalnym stopniu zrealizowane.

Najpobieżniej można streścić dramaturgię paryską następująco:

1. Mickiewicz jako zasadę podstawową przyjmuje, że teatr jest najmocniejszą artystyczną manifestacją poezji, którą teatr osobliwie dynamizuje dla obecnej widowni. Pamiętajmy więc, że źródłem teatru jest *poezja*, dramat, tekst literacki w najszerszym znaczeniu.

2. Dramat jest dalej — wyrazem *wielkiej idei narodowej*. Zjawia się w wielkich epokach historycznych, wytwarzających kult bohaterów, a zadaniem jego zdynamizowanie umysłów. Odróżnić to trzeba wyraźnie od agitacji politycznej czy społecznej, gdyż —

3. dramat, jako przeznaczony dla całego narodu, winien łączyć w sobie wszystkie elementy *poezji* narodowej, podobnie jak instytucja polityczna ogniskuje tendencje *polityczne*. Pamiętajmy więc, że tu chodzi o *tradycję narodową* i odcięcie od polityki: za najważniejsze i najbogatsze źródło tradycji narodowej uważa Mickiewicz sztukę *ludową*.

4. Tematem winno być *zmaganie się* wolnej woli człowieka z przeznaczeniem, chrześcijańska odmiana antycznej tragedii przeznaczenia.

5. Inscenizację widzi Mickiewicz w *harmonii sztuk*, jednak technice teatralnej nie przyznaje wpływu decydującego.

Działalność Schillera idzie po liniach niezgodnych z powyższymi, gdyż Schiller:

1) Obchodzi się dość bezceremonialnie z *tekstem* literackim, nadając mu często tendencję obcą dziełu, a więc stoi w sprzeczności z naczelną zasadą dramaturgii, że źródłem teatru jest utwór literacki, a istotą utworu jest przecież jedność artystyczna, którą zmiany reżyserskie muszą rujnować.

2) Przez wyraźną tendencję, zwłaszcza społeczną, sprzecza się z zasadą wyłączenia agitacji z teatru.

3) Preponderancja techniki — również koliduje z mickiewiczowską zasadą górowania poezji nad techniką.

4) Nie uważa teatru chrześcijańskiego średniowiecza za możliwe źródło odrodzenia teatru.

Argumentem zwolenników Schillera, dowodzących jego filiacji z tradycją, jest oparcie się na dramacie romantycznym oraz na starych formach naszego teatru, ale jakże to wszystko jest — mimo pozory — niezgodne z duchem paryskiej dramaturgii? Poza tym te — wyżej opisane — sprzeczności wydają mi się ważniejsze, niż te pozorne zgodności.

Działalność Schillera przy całej jego różnokierunkowości uważać można za ekspresyjny teatr walki społecznej wraz z rewolucyjnym antyestetyzmem, z preponderancją techniki; zbyt silnie włączony jest Schiller w międzynarodowy prąd reformy teatralnej, by te romantyczne hasła dramaturgii paryskiej mu odpowiadały.

Niestety brak w tej chwili w Polsce ośrodka teatralnego, któryby te zagadnienia ważne dla przyszłości naszego teatru podjął. Brak placówki, któraby przetrawiła teoretycznie i praktycznie tradycję naszą, któraby jej fundamenty oczyściła z nalotów,— spopularyzowała ją, któraby wreszcie szukając kontaktu z twórczością teatralną ludową, zbliżyła dzisiejsze pokolenie do jakiejś programowej syntezy teatru polskiego.

Niestety sytuacja u nas tak wygląda, że nie mamy nawet poważnego teatralnego pisma, gdzieby te sprawy można publikować tak, że ludzie piszący i czytający o teatrze (a jest ich u nas sporo) skazani są na przygodną gościnę po czasopismach i dzienni-

kach, skutkiem czego brak w tej dziedzinie skupienia pracy. *)

W tej chwili żadnej zorganizowanej akcji nie ma, jakkolwiek oderwane wysiłki często się spotyka. Tak np. związek teatrów ludowych, posiadający swój instytut w Warszawie szuka — jak słyszymy — kontaktu z literaturą, by zyskać dopływ piór literackich, dla scen ludowych. Tenże związek choć oparty o bardzo skromne środki finansowe, rozwija żywą działalność, której nie można nie dostrzec. Rodzą się z innej strony projekty — jak krakowskiego związku literatów — zorganizowania ośrodka kultury teatralnej, któryby te zagadnienia podjął. Wszystko to są jednak wysiłki rozstrzelone i chorujące na brak środków. Trudno ocenić, czy brak tych środków wynika z obojętności lub niedoceniania ważności tych spraw u czynników miarodajnych, czy też rzeczywistość nasza jest dziś tak skomplikowana i tyle mieści w sobie zagadnień palących, że sprawy teatru odsuwane są na szary koniec. Często słyszy się przecież uwagi, że brak nam izb szkolnych, jakże więc myśleć o takich luksusach kulturalnych jak osobne studio teatralne.

Wszystko to można zrozumieć, jednak nie można pozbyć się obawy, by obudzenie zainteresowania dla tych spraw nie przyszło za późno. Tymczasem wypada apelować do inteligencji naszej, by zainteresowała się tymi zagadnieniami, by wyszła z impasu, w którym jest pogrążona, odnosząc się do teatru, jak do jednego więcej źródła rozrywki. Teatr jest sztuką, przez którą przemawiać winien najgłębiej i najskuteczniej duch narodu. A od takiego pojęcia teatru jesteśmy dziś bardzo daleko.

Tadeusz Kudliński

*) Wznowiona ostatnio „Scena Polska“ — i dział teatralny w roczniku „Życie Sztuki“ — już ten niedomóg usuwają choćby częściowo.

Z tajemnic historii

O prawdę dziejową

W imię przyszłości narodu polskiego, w imię zjednoczenia prawdziwego, doskonałego, które uratować nas może od zagłady, a także światu wyjść na korzyść — stoczyć dziś trzeba walkę z ludzkimi rojeniami, wyobrażeniami, mniemaniami i wogóle „widzimisiami“ na temat zbiorowości. Źródło bowiem dzisiejszych nieporozumień, to brak rzetelnej prawdy dziejowej, a przede wszystkim brak prawdziwego, rzetelnego wysiłku na każdym polu, zmierzającego do gruntownego poznania rzeczywistości danej; brak mocnego postanowienia odrobienia zaległości, lenistwem i nieuctwem dokonanych.

Różnorodność i niedorzeczność sądów, podejść i metod ludzkich w ocenie, ujęciu i wytwarzaniu rzeczywistości zbiorowej (narodowej) dochodzi dziś do zenitu i stwarza coś w rodzaju stanu beznadziejności i kompletnej bezsilności w dziele zjednoczenia. Wysiłki bowiem, podejmowane przez jednostki, a nawet małe grupki, są borykaniem się tylko malutkich łupin z bezbrzeżnym oceanem głupoty, nierzetelności w myśleniu i działaniu, oraz rozpaczliwej bierności.

O zjednoczenie narodu

A idzie przecież tutaj o rzecz niezmiernej wagi — o zjednoczenie narodu na trwałych zasadach, zgodnych z głęboką treścią psychiki narodowej, oraz na zasadach i pierwiastkach głęboko ludzkich. Te bowiem formy zjednoczenia, które nam prezentują sąsiedzi, nie przemawiają nam głęboko do przekonania, nie trafiają należycie do naszych uczuć, nie zapładniają w należyty sposób naszych twórczych wysiłków. Chodzi o zjednoczenie harmonijne, głęboko przemyślane, celowe — a przede wszystkim ludzkie. Jednym słowem idzie nam o zjednoczenie (scałkowanie) zupełnie nowego typu, gwarantujące nam długotrwałość i wszelką możliwość dalszego, a bardziej intensywnego postępu — ku chwale człowieka, narodu, ludzkości i Boga. Idzie nam o zjednoczenie, do którego nie zagania się siłą i przymusem, w którym do czynu nie pobudza się strachem i ogłupiającymi mistycyzmami i któreby nie sprowadzało się wyłącznie do organizacji, schłaniającej wszelki sens życia i jego prężność.

Być może dlatego, iż stanęliśmy nagle wobec tej konieczności, wobec tak ogromnego żądania — naraz, niby w oślepiającym świetle błyskawicy, ujrzeliśmy nasze straszliwe nieprzygotowanie, narosłe w nas góry przeszkód i zanik zdolności do wysiłku.

Aby uniknąć katastrofy, aby ostać się historycznie, musielibyśmy się zdobyć na niezwykłe pogłębienie horyzontów myśli, musielibyśmy się zdobyć na wielkie, a pełne poświęceń i dyscypliny moralnej wysiłki gospodarcze (wytwórcze) i socjalne. W końcu dać musielibyśmy światu i sobie nowy ustrój, głęboko sięgający w rdzeń ludzki, będący zarazem obliczem Bożym na ziemi.

Żądanie zaiste nie lada, skrojone na miarę herosów. My zaś tymczasem toniemy w bezmyślności, gnuśności i bezpomysłowości. Przeżywamy czasy tragiczne, czasy, których znamieniem winny być najwyższe wzloty geniuszu ludzkiego — my natomiast chwalimy sobie stan obecny i nieudolnie gramolimy się w historii.

Nie jesteśmy przygotowani

Po męsku należy stwierdzić, bez żadnego defetyzmu, iż obecnie nie jesteśmy przygotowani do takiego zjednoczenia, jakiego od nas wymaga chwila dziejowa. Wprawdzie istnieją niespodzianki w historii, wprawdzie istnieją cuda, ale nawet przy ich pomocy nie będziemy mogli w krótkim czasie odrobić tak potwornych zaległości, nie będziemy mogli usunąć ogromnych zwałów przeszkód zewnętrznych i rozsadzić narosłych, a zaskorupiałych powłok wewnątrz naszych psychik. Nie pomogą tutaj żadne „szarże“ i „galopady na złamanie karku“; nie pomogą nawoływania do partyj wojennych i do od-

wiecznej „rycerskości“ narodu i zdawanie losu naszego narodu na ich „cudowne“ lecznictwo.

Wszystko to są tylko powtarzające się biernie pomysły naszej chorej psychiki, naszej wykrzywionej umysłowości, naszego spaczonego pojęcia odpowiedzialności i zaśniedziałego z bezruchu wysiłku podstawowego.

Za długo bowiem wierzyliśmy w cuda

... za długo bowiem wierzyliśmy i zdawaliśmy się na „rozpędy ułańskie“, „zwariowane szarże“ i mądrość „świętych szaleńców‘, za długo zdawaliśmy się na zrządzenie opatrzności, wielkość i rozumność przyrody; za długo wierzyliśmy w „jakoś to będzie“. Psychika polska wewnętrznie zgnuśniała. Oczekujemy i obecnie na wielkie wstrząsy, na jakieś odradzające psychicznie potworności wojenne, na zew „złotych rogów“ i tym podobne, wyimaginowane niedorzeczności, bo nie stać nas widać w obecnej chwili na coś innego. Nie zadajemy sobie jednak trudu, aby przekonać się o nierzeczywistości i głupocie naszego czekania na coś, co tylko sami możemy wytworzyć. Żadne wstrząsy nie przyjdą same, na kształt burz i wielkich natchnień, poruszających i oświecających nasze zleniwiałe mózgi. Żadne „stawianie“ na wojnę nie odrodzi nas psychicznie i sytuacji naszej samo przez się nie uratuje, ani też nie zdopinguje zapatyzowanych energij wytwórczych narodu polskiego. „Stawianie“ na wojnę, to tylko działanie po linii najmniejszego oporu, to tylko rozbudzanie w narodzie starego kompleksu marzeń o wojence zwycięskiej (koniecznie „zwycięskiej“); jakże by Polak, straceńczo odważna istota, mógł przegrać bitwę).

Taka bezmyślność i takie obracanie się w świecie wyobrażeń niedorównanych, zastępujących rzeczywistość, a paraliżujących zmysł rzeczywistości, potrzebę wysiłków i zdolność samostanowienia, jest przerażającą chorobą psychiczną; jest niezwalczoną przeszkodą do zjednoczenia narodu; jest przyczyną, która nas ustawicznie różniczkuje i rozproszkowuje; jest przyczyną zaniku sił i produktywności.

Chorujemy na elephantiasis wyobraźni, na przerost naiwnej wiary w zrządzenie losu w życiu praktycznym i gospodarczym; chorujemy na przerost pierwiastków intuitywno - poetyckich w dziedzinach ustrojowych.

U podstaw tej choroby społecznej spoczywa zleniwiała psychika polska, wierząca w swoje zdolności wielkie; domagająca się od Boga dobrobytu, szantażując Go swoją misją dziejową; obiecująca ludzkości wielkie dzieła, jako produkty głębinowych swych zdolności i zbiorowych erupcyj — a zakłamująca się beznadziejnie, aby jeno nie dopuścić do wyrzutów sumienia; aby wewnętrznie się uspokoić i uśpić w sobie wątpliwości; aby jeno przed sobą usprawiedliwić swój brak inicjatywy, swój brak wysiłku stałego i pracowitego i w końcu swój brak samodzielnej oceny.

Efekt tego lenistwa duchowego przeszedł, zdaje się, najśmielsze ludzkie wyobrażenia. Nie umiemy dziś, powiedzmy sobie szczerze, myśleć społecznie; nie umiemy ściśle określić rzeczywistości społecznej. Sądy nasze społeczne gruntują się na intuicjach subiektywnych, zazwyczaj nie sprawdzanych; na luźnych wyobrażeniach, nie powiązanych logicznie, ani nawet genetycznie, na jednostronnych dociekaniach filozoficznych i dedukcjach; na jednostronnych wnioskach doświadczalnych, tak zwanych naukowych — wreszcie na tak zwanych osobistych obserwacjach, „widzimisiach“. Jest to najgorszy objaw osądów i określeń społecznych, u nas niestety najbardziej rozpowszechniony.

Nie tylko nie umiemy ocenić i określić rzeczywistości zbiorowej, ale nie umiemy jej też wytwarzać. Z jednej strony żyje się u nas po bożemu, w takt dyktowany nam przez Boga, poprzez ziemię, poprzez przyrodę. Wtedy to chwali się Boga rano i wieczorem, pieśnią i modlitwą — uprawia się ziemię wzorem i metodą ustaloną z dziada pradziada, a resztę zdaje się na łaskę Bożą, na to, co „Bóg da“. Nie buduje to żadnej społeczności, utrzymuje tylko w pewnym trwaniu sumę biologicznych istnień.

Z drugiej strony niechęć do pracy ludzkiej (wszystko jedno, źle, czy dobrze zorganizowanej), pcha całe masy do łatwizny, do karier, to jest do uzyskania dobrobytu drogą sprytu, protekcyj, a nawet poświęcenia własnej godności. Jest to pseudowytwarzanie, a w gruncie rzeczy jest to zakłamywanie siebie i społeczeństwa, iż się coś robi konkretnego. że się coś produkuje. Nasze ostatnie procesy sądowe odsłaniają nam wyraźnie tę naszą, „rzeczywistość“ wytwórczo - gospodarczą.

Nie koniec jednak na tym. Nasze źródłowe lenistwo narodowe wyniszczyło w nas potężnie zdolność całkowania, zdolność syntetyzowania — podstawową zdolność ustrojową.

I na skutek tego z jednej strony mnożą się najprzeróżnorodniejszego rodzaju organizacje, które w mechaniczny sposób, niejako same przez się, mają dokonać zjednoczenia i spowodować erupcje twórcze, potrzebne do scałkowania wirtualnego, dynamicznego. Nie udaje się ta metoda, gdyż nigdy, jak dotąd, sam mechanizm organizacyjny, sam schemat nie zdołał powiązać ludzi do tego stopnia, aby poczuli się w tym mechaniźmie jednością przez sam fakt związania i wtłoczenia w przygotowane naprzód ramki.

Z drugiej strony zleniwiała psychika polska o ile płodziła najprzeróżniejsze koncepcje i schematy powiązań, o tyle sama wzdragała się przed wejściem w te ramy; broniła odruchowo swej niezależności (pseudo) i swego niczym nieskrępowanego samostanowienia. Twórczość, sztuka, koncepcje, schematy, statuty, wszystkie te cudowności wydobywa Polak z siebie bez większych trudności i wysiłków. Trzeba dodać, iż wszystkie te rzeczy na skutek tego, że są twórcze, posiadają symbolikę i logikę wnętrznej syntezy na wskroś subiektywną, odpowiadającą cudownie jej twórcy, dla innych zaś z tegoż względu nie do przyjęcia bez uprzednich korektyw, rozszerzeń, a nawet całkowitych zmian.

Tak więc w dziedzinie ustrojowej mnoży się u nas od twórców, konceptorów, rozkazodawców, a nawet sui generis wodzów, mnoży się od wypatroszonych z treści i chrzęszczących kośćmi szkieletów organizacyj — ale nie ma żywych, dynamicznych ustrojów — samostanowień zbiorowości.

Czy takie braki...

.....dadzą się w krótkim czasie nadrobić? Czy leniwa postawa da się tylko drogą wstrząsów psychicznych,

„zbawczych" dawek grozy wojennej, drogą rozhukania polskiej „hopakiady", w krótkim czasie zaktywizować, przepoić wolą odrodzenia i nastroić jej wysiłki na najwyższy ton? Na to pytanie niechaj sobie każdy czytelnik w duchu odpowie i jeśli nim wstrząśnie przerażenie, jeśli z oczu jego spadną łuski całowiecznych kłamstw, — niech zabierze się do rzetelnej, głębokiej i celowej pracy.

Nasamprzód trzeba dorównanie określić rzeczywistość, abyśmy na fikcjach nie budowali przyszłości, powtarzając w zbytnim pośpiechu i „połebkowatości" grzechy naszych przodków.

Jaka jest rzeczywistość Europy

W dziejach poszczególnych narodów, w dziejach plemion, w różnych czasach i na połaciach ziemi dają się wyodrębnić mniej więcej jednakowe fazy rozwojowe. Początkowo są to okresy, gdzie pewne zbiorowości żyją życiem wyłącznie biologicznym, a pośród nich zjawiają się jak gdyby pomazańcy Boży, władcy, a właściwiej władyki. Ludy im poddane, ziemie, lasy i zwierzostan, wszystko to było ich własnością. Z tej plasteliny dziejowej lepili oni twory, które zbliżone są do dzisiejszych narodów i państw. W miarę lat jednak i oddziaływania na poddanych form i tworów przez władców wytworzonych, zaczyna się zwiększać świadomość ludzka i prężność do działań samodzielnych. Historię, jednym słowem, zaczynają tworzyć coraz to większe zastępy ludzkie, wnosząc do niej coraz więcej indywidualnych pomysłów i form. Zaczynają się pojawiać problemy, zadania zbiorowe. Rzecz prosta, iż w miarę jak narody lub plemiona wchodziły w orbitę historii w czasie, kiedy już kultura została dźwignięta na pewien poziom — procesy rozdrabniania zagadnień, zachodzące wewnątrz tych organizmów, dojrzewały znacznie szybciej i znacznie prędzej nabierał znaczenia historycznego udział dziejotwórczy mas.

W okresach tych dominowały — religie i kulty, jako jedyne metody i sposoby właściwego wytwarzania dobrobytu i utrzymania społeczności — filozofia, jako metoda określenia przyrody i zjawisk wytwarzającej się zbiorowości — twórczość, jako sposób i metoda kształtowania ustrojów. Natchnienia twórcze, intuicje wodzów, książąt i panujących były jedyną podstawą, jedynym kryterium i uprawnieniem do kształtowania ustroju.

Okres ten z pewnymi fluktuacjami, odmianami i odchyleniami na małych terenach i w różnych czasach trwał mniej więcej do końca średnich wieków (Podkreślić tutaj jednak muszę to, że całe uprzednie i przyszłe rozważanie dotyczy wyłącznie historii Europy, a ściślej, rasy białej).

Zaczątek Odrodzenia został wywołany brzemiennymi zmianami w całokształcie psychiki ludzkiej. W ówczesnym tworzeniu historii już dużo ludzi bierze udział, to znaczy, iż w szerszych już masach zjawiło się dążenie do przystosowywania świata do miary własnych wyobrażeń i pragnień. Zagadnienia już rozrastały się niesłychanie szybko. Nastąpiło zagęszczenie ludności do tego stopnia, iż powstać musiały zasady i normy współżycia, zasady praw i obowiązków. Wraz z tym rozwojem zaczął się też zarysowywać, żywiołowo w początkach, a później coraz świadomiej, nowy stosunek człowieka do przyrody. Dotychczasowe metody rozwojowe, jakimi były religie, filozofia i twórczość, nie zostały pogłębione równolegle z rozwojem człowieka, lecz wręcz przeciwnie, zostały zafiksowane w ponaddziejowe dogmaty, nakazy i moce. Zaczęły one siłą rzeczy nie wystarczać już do właściwego określania rzeczywistości, nie regulowały dostatecznie jej wytwarzania i przestały być właściwym źródłem mocy, potrzebnym do samostanowienia o sobie człowieka. Tak więc usunięto—religie, jako niepraktyczną metodę dla zasilania, prowadzenia i organizowania prężności produkcyjnej — filozofię, która straciła swe znaczenie praktyczne w określaniu przyrody i życia zbiorowego człowieka — wreszcie zaprzeczono jakiejkolwiek wartości twórczym aktom w kształtowaniu, syntetyzowaniu i całkowaniu społeczności w historyczne ustroje.

Powody

Aby zrozumieć zaszłe przemiany w tym brzemiennym okresie, należy przede wszystkim nieco bliżej przyjrzeć się omawianym dotychczasowym metodom rozwojowym, a mianowicie religii, filozofii i twórczości. Głębsza analiza przekona nas, iż są one manifestacjami Boga poprzez człowieka, że były one i są interwencją opatrzności w nieporadności ludzkiej, jej prymitywizmie i nieświadomości. Prowadziły one człowieka właściwą drogą rozwoju poprzez kary i nagrody, poprzez intuicje, uczucia i sumienie, innymi słowy rozwijały one możliwości, moce i predyspozycje zawarte w konstytucji psychicznej i biologicznej człowieka. Stanowiły one jednak przez to samo pewne niebezpieczeństwo historyczne dla człowieka, a mianowicie rozwijały w nim lenistwo duchowe. Prowadząc bowiem człowieka jak gdyby same przez się, wskazując mu drogę dotkliwymi karami i doraźnymi korzyściami, oświecając go intuicjami, zjawiającymi się w nim bez jego wysiłku, w końcu kształtując jego osobowość erupcjami twórczymi, wyłączały jak gdyby świadomy, osobniczy wysiłek człowieka z jego historii, nie sprzyjały rozwojowi jego charakteru. Człowiek we wszystkim zaczął się zdawać na opatrzność i dyktando podświadomości.

Ponieważ jednak metody te przyniosły człowiekowi w ciągu historii poznanie intuicyjne świata, ponieważ przysporzyły mu one dobrobytu i wytworzyły dlań pewien stan szczęśliwości, człowiek zawierzył im a priori i obawiając się je zniszczyć, lub osłabić ich przejawy przez własną nieopatrzność, lub nieświadomość postępowania, zafiksował je i uchwalił w dogmatach i prawach „niezachwianych"; odsunął je człowiek w ten sposób od praktycznego znaczenia. W bojaźliwości swojej i lenistwie myślał, iż zdołał zatrzymać i utrwalić w sobie moce dobre, regulujące zań jego życie. Nie wiedział przy tym, iż czyniąc z metod własnego rozwoju, danych mu a priori, istności od niego niezawisłe, z nim nie związane, a jedynie wpływające w sposób decydujący na jego życie, czyni przez to własne życie i własną godność nic nie znaczącymi.

Stało się to, co mogło się stać najniebezpieczniejszego w historii. Odwartościowane zostało życie człowieka, a te zasady, które w życiu praktycznym mogły się stać regulatorami i podstawami wartości,

zawieszone zostały przez człowieka w próżni ponaddziejowej. Jednocześnie został dokonany pierwszy akt zrzeczenia się przez człowieka odpowiedzialności za swoją działalność—została dokonana pierwsza próba ucieczki przed rzetelnym wysiłkiem, a wysunęła się na czoło zagadnień chęć życia wygodnego, życia cudzym kosztem. Człowiek przyjął gładko i bez sprzeciwu, iż praca jest przekleństwem jego życia.

Tymczasem

.....była to tylko pozorna ucieczka od rzeczywistości, pozorne ułatwienie życia, a w gruncie rzeczy było to pierwsze wytworzenie fikcyj, pierwsze staczanie się w zakłamanie, które od tego czasu ciążyć zaczęło ołowiem skutków na życiu człowieka, a przede wszystkim został dokonany pierwszy gest antyspołeczny.

Człowiek nie zafiksował, jak mniemał, owych metod swojego rozwoju; dokonał tylko w sobie niebezpiecznego zwichnięcia, niebezpiecznego rozdziału, który z biegiem czasu coraz się bardziej pogłębiał. Przepaść ową zasypywał człowiek w następnych wiekach tysiącami własnych istnień, swą bezbrzeżną nędzą i krwawym trudem. Dla przysłonięcia jej wytwarzał coraz bardziej skomplikowane fikcje i urojone fantasmagorie. W końcu podział ten stał się przyczyną rozpadu wewnętrznego społeczeństw. Trzeba bowiem dodać, iż wtedy to właśnie zaczął człowiek świadomie stosować wysiłek, czyli pojawiła się na horyzoncie dziejów zasada człowiecza świadomie użyta.

Kiedy bowiem człowiekowi zafiksowane metody zaczęły nie wystarczać dla określania, wytwarzania i stanowienia o rzeczywistości — kiedy je odrzucił lekkomyślnie w ponaddziejowość, przyznając im miejsce na świecie jedynie w subiekcie człowieka, musiał z konieczności człowiek wytworzyć metody dalszego rozwoju. Odwołał się więc do człowieczego wysiłku. I tak powstał: produkcjonizm, jako manifestacja człowieczego wysiłku w dziedzinie samowytwarzania rzeczywistości — cywilizacja, jako manifestacja człowieczego wysiłku w dziedzinie samookreślenia — i wreszcie organizacja, nasycona brutalną siłą, jako manifestacja wysiłku człowieka w dziedzinie samostanowienia.

Zamiana ta nie obeszła się bez wstrząsów. Wielka rewolucja francuska i okres Wiosny Ludów, oto skutki tego zwekslowania w historii. Tkwiące jednak wgłębnie w psychikach ludzkich lenistwo i skłonność do łatwizny, usankcjonowały wojnę, jako najprostszą metodę zdobywania przez zbiorowość dobrobytu, mistycyzm, jako najkrótszą drogę samookreślenia i rewolucję, jako sposób udoskonalenia ustroju.

Historia po tym potoczyła się pozornie wartko po wytyczonych trzech torach: produkcjonizmu, cywilizacji i organizacji. Wysiłek ludzki wylewał się w erupcjach szeroko, nie napotykając właściwie większych oporów. Należy jednak podkreślić, że wysiłek ten równolegle, lub jednostronnie kipiał na wspomnianych torach — na każdym jednak rozwijając się w oderwaniu, w separatystycznym egoizmie, bez skłonności nawet do powiązania z całością.

Dokąd wysiłek był w fazie własnej eksplikacji, dokąd nie zdradzał on skłonności do objęcia bez reszty i określenia rzeczywistości, dotąd nie napotykał on właściwie większych oporów, gdyż napięcie jego było jednokierunkowe. Odkąd jednak zdradził skłonności do rozwiązywania zagadnień zbiorowych, społecznych, odtąd napotkał na opory, stał się czynnikiem antyspołecznym.

Wzbierały w ten sposób w ludzkości trzy potworne wrzody. Jeden, to spotęgowany do maksimum produkcjonizm ludzkości, oparty wyłącznie na wysiłku ludzkim pozbawionym zasad religijnych — jest to kapitalizm. Drugi, to pozytywizm, spotęgowana do maksimum cywilizacja człowieka bez zasad filozoficznych. Wreszcie trzeci, to demokracja, spotęgowany do maksimum wysiłek w dziedzinie ustrojowej, oparty na mechanicznej organizacji, a pozbawiony zasad twórczych, to jest zasad syntetyzujących i całkujących w dynamizmie.

Zachłanność twych tworów...

...ich jednostronność, zaborczość, bezzasadność i bezcelowość musiały je wkrótce skierować przeciwko sobie, w brutalnej dążności do prymatu. I tak kapitalizm chciał wchłonąć w siebie rządy parlamentarne i cywilizację ludzką; demokracja dla swych celów chciała podporządkować sobie kapitalizm i cywilizację (wychowanie społeczne); wreszcie pozytywizm chciał narzucić swe metody naukowe, doświadczalne tak kapitalizmowi, jak i demokracji. Konflikt narastał, ale też i zbliżał się moment koszmarnych syntez. Wybuchła wielka wojna i po jej krwawej kąpieli narody doszły do przekonania, że należy połączyć w jedną całość wyolbrzymiałe zapędy ludzkie, chroniąc się tym samym przed nową, stokroć straszliwszą wojną.

Ale znowu, jak zwykle, ulegając skłonnościom do łatwizn, poszły narody po linii najmniejszego oporu. Nie zwrócono się przeciw przyczynom wielkiej wojny; nie wypalono skłonności ludzkich do uproszczonego i najłatwiejszego załatwiania gigantycznych problemów historycznych; nie potępiono wojny, jako sposobu zdobywania dobrobytu; nie potępiono mistycyzmów cywilizacyjnych, jako łatwizny kulturowej; nie potępiono wreszcie rewolucji, jako sposobu doskonalenia ustroju — lecz starano się tylko zapobiec zbyt gwałtownym skutkom tychże postaw. Wytworzono jeszcze jeden historyczny paliatyw.

Gwoli bowiem zabezpieczenia się przed nowymi komplikacjami, wynikłymi z żarłoczności kapitalizmu, z relatywności pozytywizmu i bezcelowości demokracji, oraz w chęci spotęgowania do maksimum, zestrzelenia w jedno ognisko wysiłku ludzkiego — narody dokonały nafaszerowanych dynamitem syntez. Uczyniły to na trzech już przed tym wyodrębnionych zasadach, a mianowicie: produkcjonizmu (bolszewizm), cywilizacji (rasizm), i na zasadach ustrojowo - organizacyjnych (faszyzm). Są to rzeczywistości złączone wspólnotą wysiłków ludzkich, rozmaicie manifestowanych, wytworzyć więc one mogą gigantyczne nabrzmienia w postaciach entuzjazmów, imperializmów zaborczych i wreszcie sił niszczących.

Nie rozwiązano przez to zagadnień, a wytwarzając centrowe ogniska i upusty ludzkiego wysiłku, spotęgowano tylko możliwość katastroficznych powikłań, gdyż każda z tych rzeczywistości przez wy-

sublimowanie w postaci czystej i różnorodnej wysiłku ludzkiego stała się rzeczywistością przez się i dla się. W tym tkwi właśnie potworne niebezpieczeństwo, a jeżeli doda się do tego jeszcze odwieczną ludzką skłonność do łatwizn, to zrozumiałe się stanie, że w najbliższej przyszłości czekają nas orgie mistycyzmów, najróżnorodniejsze rewolucje i krwawe przełomy, oraz straszliwe zmagania wojenne.

Oto wszystko, co człowiek dotychczas wytworzył wyłącznie na zasadach własnego wysiłku, w odseparowaniu się od zasad manifestacji Bożej; rozwiązanie tego problemu zawisło już groźbą nad Europą.

Narody, wpadłszy z jednej ostateczności (manifestacje Boże) w drugą (manifestacje człowiecze), stanęły u wrót swoich możliwości. Nie wyrugowano bowiem z zasad produkcjonizmu dążności religijnej, a tylko wypaczono ją (komunizm). Nie oderwano cywilizacji od dążności filozoficznej, a tylko dążność tę sformalizowano, pozbawiając ją treści (n.p. socjologia, antropologia i t.p.). Nie usunięto również z organizacyj dążności twórczej, personifikując ją tylko w postaciach dyktatorów.

Tak więc zagadnienie jest w dalszym ciągu otwarte.

Wnioski

Jeżeli filozofia nie zdołała dorównanie określić rzeczywistości zbiorowej człowieka, gdyż brakło jej doświadczenia ludzkiego, zaczerpniętego w fazie budowania rzeczywistości zbiorowej, to tak samo cywilizacja ludzka oparta na zdobyczach naukowych z braku zasad i podstaw absolutnych gubiła się w relatywizmach. Dla dokonania samookreślenia zbiorowego ludzkości (myślenia społecznego), niezbędnego dla uporządkowania umysłowości ludzkich i ich zjednoczenia, potrzebne jest uzgodnienie zasad filozofii (jako manifestacji Bożej) z zasadami cywilizacyjnymi, (jako manifestacją wysiłku człowieka samookreślającego się) w nowej kulturze. Społeczność w samookreśleniu (naród i t.p.) bowiem, to platforma gdzie myśl człowieka w wysiłku samookreślającym się urzeczywistnia i ukonkretnia myśl Bożą. Czy do takiego uzgodnienia mogłaby nas doprowadzić opatrzność Boża, lub sam wysiłek ludzki? Nie! Gdyż sam wysiłek bez zasad zdąża tylko do zaprzeczenia samemu sobie, sama zaś filozofia bez wysiłku ludzkiego nie urzeczywistni myśli Bożej.

Bierność, skłonność do łatwizn i nieświadomość spowodowały rozszczepienie między manifestacją Bożą—filozofią a manifestacją człowieczą—cywilizacją. Rozdział ten stał się podstawą do wyniszczenia kultury. Obecnie tylko przez dokonanie głębokich uzgodnień może powrócić na ziemię prawdziwa kultura, zdążającą harmonijnie do samookreślenia się człowieka poprzez zbiorowość i realizująca przez to prawdziwą myśl Bożą.

To samo dzieje się z dziedziną wytwórczości. O ile religia nie była w stanie w sposób dorównany wytwarzać rzeczywistości, gdyż brakło jej do tego sił ludzkich do przewalczenia oporów materii — tak samo produkcjonizm nie był w stanie dokonać samowytworzenia człowieka, gdyż brakło mu zasad moralnych, łączących wysiłki harmonijnie i trwale. — Wytwarzać mógł on tylko egoizmy i żądze. Dla dokonania samowytworzenia się zbiorowego ludzkości (gospodarka społeczna), niezbędnego dla unormowania i połączenia całej dziedziny wytwórczości człowieka, musi nastąpić uzgodnienie zasad produkcjonizmu z dążnością religijną (zasadami moralnymi) w nowej gospodarce społecznej. Społeczność wszelka samowytwarzająca się (naród, państwo i t.p.) jest bowiem miejscem, gdzie wysiłek człowieka samowytwarzający realizuje Królestwo Boże na ziemi. Wszelkie rozszczepienie pomiędzy tymi manifestacjami jest dążeniem antyspołecznym, kulminującym w wyniszczającej wojnie.

W końcu twórczość, jako zasada całkowania, syntetyzowania, nie zdołała dokonać całki zbiorowej, gdyż twórczość eksplikuje moc całkowania dynamiczną poprzez człowieka — brakło jej więc zasad powiązania dużej ilości jednostek, działających twórczo. Tak samo organizacja, jako wykładnik (zbiorowości) wysiłku człowieka samostanowiącą o sobie, nie była w stanie scałkować dorównanie rzeczywistości ludzkiej. Nie ma jednak ustroju społecznego, jeśli nie ma w nim uzgodnienia zasad organizacyjnych (manifestacja człowieka) z dążnością twórczą (manifestacja Boża, całkująca w dynamizmie). Organizacja bowiem oddzielona od twórczego dynamizmu, to martwy schemat, mechanizm, działający biernie ciążeniem, a gniotący bezwładem wszelką żywą prężność. Twórczość dynamiczna bez zasad organizacyjnych, to anarchia.

Nowe zjednoczenie więc, nowa synteza to naród, gdzie wszystkie te trzy rzeczywistości stopią się na zasadach uzgodnionych manifestacyj: Bożej i wysiłku ludzkiego.

A teraz my!

Teraz możemy spojrzeć na naszą rzeczywistość. Czy do całki takiej jesteśmy przygotowani?

Kiedy narody przeżywały okres wysiłków, kiedy produkowały, kiedy wznosiły cywilizację ludzką, kiedy organizowały rzeczywistości zbiorowe — myśmy przeżywali niejako renesans manifestacyj Bożych (twórczość, romantyzm, mesjanizm, powrót do ziemi, do obyczajności, zwrot do ludu, „życie po bożemu"). Nie mamy w swej historii okresu produkcyjnego w sensie zbiorowym, nie mamy na skutek tego cywilizacji, płynącej z budowania rzeczywistości ludzkiej, nie mamy doświadczenia organizacyjnego. Mamy natomiast rozwinięte nazbyt skłonności trwania, które popychają nas na łatwizny: pseudo - tworzenia (tworzenie bez pogłębiania problemów), pseudo - filozofowania (filozofii nieuka) i w końcu religianctwa (moralności na pokaz i w słowach). To są w tej chwili źródła naszej zguby, gdyż one podtrzymują nadal rozleniwienie naszej psychiki, jej bezmyślność i niezdolność do działania.

Czy w tej rzeczywistości i wobec takich problemów może być jeszcze jakaś wątpliwość, iż żadne wstrząsy, żadne awantury wojenne nie uratują naszej sytuacji, iż tylko jedna, jedyna praca na wszystkich odcinkach, począwszy od siebie, a skończywszy na narodzie, praca na polu kulturalnym, wytwórczym i ustrojowym — może nas uratować od zguby.

Ż.

Los
Dramat w 4 odsłonach Mariana Niżyńskiego

Odsłona IV (dokończenie)

(Nad brzegiem rzeki tartak, tłumy).

Scena 1.

— Wytrzyma jeszcze z pół godziny.
Myszy pływają już na schodach.
— Jest tam kto? Hej tam. Brus zaginął.
a tutaj coraz wyższa woda.
— Ano co mi tam. Jest gospodarz
niech on się martwi. Jego głowa.
— Pije.
— To tak? A domu szkoda
bo możnaby go odratować.
O Jacek.
(Wchodzi Jacek ledwie trzymając się na nogach).
— Co jest Jacek z wami?
Gdzie ojciec? Zośka? Tartak trzeszczy.
— Woda już stoi pod oknami.
A możnaby go jakoś jeszcze...
Ruszaj się, otwórz!
JACEK
Ja ratować.
A czy to ja mam w głowie źle?
— Cóżeś ty chłopcze zwariował
Przecież to wasze.
JACEK
Nasze? Nie.
Przepił go przegrał za byle co.
Mnie, Zośkę okradł, własne dzieci
Ale inaczej będzie.
(Z drugiej strony tartaku trzask).
— Gonty lecą.
JACEK
Niech się rozpadnie, niech rozleci.
Tylko nagroda com ją dostał.
Żeby to znaleść co jest moje.
(Otwiera drzwi. Chlupot i szum).
— Ho, tu już woda.
— Nie wchodź, zostań.
JACEK
Nie wody ja się teraz boję.
— Ale ze strachu drżą ci szczęki.
JACEK
Jeśli się boję, — Boskiej ręki.
(Chce wejść, kiedy nadchodzi Zośka z Rubinkiem).

Scena 2.

RUBINEK
No niech panienka już nie płacze.
Rubinek przecież koło pani.
To musi jakoś być inaczej
Jak go zabierze, drugi stanie.
JACEK
Pocoś tu przyszła?
ZOŚKA
Jacuś, bracie.
Jesteśmy już uratowani.
RUBINEK
No, a wy na co tu czekacie?
Okopać groble. Zbić gwoździami.
Co do jednego do roboty.
Za Brusa dziś Rubinek płaci.
Na głowę złotych sto.
— Sto złotych?
(Rubinek wchodzi do tartaku, a za nim ociągając się tłum).

Scena 3.

JACEK
Co ty Zośka?
ZOŚKA
Jezu za tą długą nędzę
Za to wycieranie talerzy śmierdzących
przysłał los nagrodę. Wygrałam pieniądze.
Co ja mam tysięcy, co ja mam tysięcy.
JACEK
Los?
ZOŚKA
Numer: pięć jeden, trzy zero.
JACEK
Trzy zero?
Zośka przecież to jest...
(Dobywa z kieszeni gazetę).
ZOŚKA
Masz gazetę w rękach?
Tam gdzie pełna tabela loterii
No prawda?
(Jacek przerzuca nerwowo pismo. Szuka. Opuszcza ręce ku dołowi i patrzy na Zośkę).
ZOŚKA
No powiedz.
(Jacek waha się przez chwilę, a potym decyduje).
JACEK
Tak moja maleńka.
ZOŚKA
Zbudujemy tartak jak największy dom.
Będziesz spał na puchu, będziesz dobrze jadł
A potym doktorów zawołamy sto
Aby mi pomogli ujrzeć świat.

Scena 4.

(Wpada Kramarka).
KRAMARKA
Psie mięso. A gdzież ty się włóczysz dziewczyno
Ho, ho, źle z tartakiem. Dobrze żeś ty cała.
Coś ty w Lunaparku bredziła?
ZOŚKA
Wygrałam.
KRAMARKA
Dziewucho, dziewucho, nie pleć no mi ino.
(Jacek daje Kramarce znak).
JACEK
Wygrała. A teraz niech ją weźmie ciotka.
Musisz iść. Ze szczęścia zmęczyłaś się trochę.
ZOŚKA
Co będzie z tartakiem?

JACEK

Słyszysz? Walą młotki.
Ratują go. Tybyś zawadzała Zocha.
Idź już.

ZOŚKA

A gdy woda już całkiem opadnie
i przejrzę, urządzę domek ładnie .

JACEK

Ładnie.

(Kramarka nachyla się do Jacka).

KRAMARKA

Tyle szczęścia ile myśli że wygrała.
Nie daj się. No chodźmy.

JACEK

Moja biedna mała.

Scena 5.

(Z tartaku wychodzi Rubinek).

RUBINEK

Rubinek mówi jedno wiecznie
trza umieć ludzi za nos wodzić
A gdzie niebardzo jest bezpiecznie
nie chodzić.

JACEK

Pan na coś liczy panie kupiec.

RUBINEK

To coś powiedział nie jest głupie.
Jeśli naprawdę wygraliście,
to znaczy dla mnie bardzo wiele.

JACEK

Wara ci od niej.

RUBINEK

Rzeczywiście.
Ładnie traktujesz przyjaciela.
To ja ratuję wam ten tartak
gonię i nadwyrężam trzos
a taki smarkacz powie wara.
Uważaj jeszcze nieskończone.
Bo ja mam w swoich rękach los.

JACEK

Gówno pan razem z losem warta.

RUBINEK

Ona wygrała ja mam nos.
A gdzie jest mała?

JACEK

Poszła mała.
Nie będzie wiedzieć co się stanie.
Ja wam zapłacę wszystkim, dranie.

RUBINEK

A co się stanie?

JACEK

Nic.

Scena 6.

(Z tartaku wypadają robotnicy).

— Powała.
— Powała pękła.

RUBINEK

Wracać.

— Panie.
Stracony tartak. Co pan myśli?
Że myśmy tutaj po śmierć przyszli.

RUBINEK

Tchórz was obleciał darmozjady?
Pieniędzy chcecie.

— Bywa różnie.
— Kto chce dom ustrzec od zagłady
niech go pilnuje sam.

RUBINEK

Co?

JACEK

Słusznie.

(Chce wejść do tartaku).

— Nie wchodź tam głupi, bo jak ściana
zacznie się od sufitu rwać
to stąd nie wyjdziesz.
— Puścił kanał.

JACEK

Co mi się może jeszcze stać?

(Wchodzi do tartaku, tłum zaniepokojony).

Scena 7.

(Minus na czele gromady, obok Brus).

MINUS

Zamknijcie temu ścierwu gębę.

BRUS

To ja jest ścierwo? A pan panie czym był?

(Do gromady).

Przecież wasz jestem chłop z dziada pradziada
i wy mię dacie krzywdzić złodziejowi?
Byliście przy tym przytomna gromada.
Byłem pijany nie? No niech kto powie.

— Mówiłem z początku, że wszystko źle będzie.
Kupić to nie jest sprawa taka łatwa.

MINUS

Dziesięciu świadków mam.

— Ale on w biedzie.
— Panie pan z nami także sprawy gmatwa.

MINUS

Gmatwa? To kiedym was porwał do życia
jakiś cel wskazał i stanął na czele,
Wtenczas nazwaliście mnie przyjacielem,
A teraz sądzicie?
Kto wiedział, że to fikcja poetycka,
że zamiast złota były tam papiery?
Metoda była dobra.

— Nie. Bandycka.
My chcemy chleba ale sprawiedliwie.

MINUS

Ja będę z wami znowu szczery
przyznaję krzywdzę Brusa. Lecz się dziwię
że przekładacie szczęście jednostki
ponad gmach bytu, przeznaczony dla mas.

— Ten gmach, to bujda.
— Co pan zrobił dla nas?

MINUS

Przyznaję: to ja dziewczynę okradłem.

(Poruszenie).

Przyznaję: chciałem posady kasjera.
Lecz jeśli w chęciach tak nisko upadłem
to nie dla forsy. Nie dla kariery.
Lecz że na waszym chciałem stanąć czele,
by prawo ludu przeciwstawić mafiom.
Za wasze jutro walczę przyjaciele.

— Walczyć nie umie pan. Pan kraść potrafi.

MINUS

Ten tartak, jeśli wytrwacie cierpliwie
na gmach istnienia waszego przerobię.
Taki gmach może miliony wyżywić.
Kto protestuje, czyni krzywdę sobie.

BRUS

To pan budować chce na mojej nędzy
ten gmach istnienia jak to pan powiada.
Niech pan zabiera tu swoje pieniądze.
Po moim trupie.

MINUS

Czy ja z wami gadam.
— Nie chcemy w mglistej trwać ułudzie
— Mów pan po ludzku, my jesteśmy ludzie.
— Bierz pan pieniądze i uciekaj stąd.

MINUS

Co wy?
— My chłopski rozum.
— Sąd.

MINUS

Aż tak? Myślicie że przed sądem klęknę?
Że sąd to dla mnie byle kiep i cham?
Schowajcie pięści bo ich się nie zlęknę.
Nie chcecie ze mną, pójdę przeciw wam.

(Tłum następuje na Minusa, który wycofuje się w stronę tartaku).

— Tam śmierć.
— Tu także.
— Zginiesz z ręki chama.

(Minus wpada do tartaku i zatrzaskuje za sobą silnie drzwi).

Scena 8.

RUBINEK

Po co odrazu ten ponury dramat
jakby to było w sejmie, czy na wojnie.

(Do Brusa).

Dajcie pieniądze. Pomówię spokojnie.

(Puka do tartaku).

(W tej chwili następuje trzask i frontowa ściana zarysowuje się).

— To główny sworzeń pod dachem się złamał.
— Ściana.
Rozstąpić się.
— Wali się ściana.

(Ściana rozpada się odsłaniając wnętrze tartaku: na podwyższeniu świecąca piła, do której podchodzi prostopadle kremowy szeroki legar. Z obu stron na wyższą kondygnację prowadzą schody. Tłum grupuje się z prawej strony sceny. Ściemnia się. Minus podchodzi schodkami ku górze prawie na oślep. W głębi z lewej strony przyczajony Jacek).

— A w imię Ojca. Jak tak ruszy koło
to tartak tylko zadygoce w huku.

Scena 9.

(Śmiech Jacka).

MINUS

Kto tu?
— Gdzie on idzie? Przepadnie.

JACEK (cichym głosem).

A kuku.

(Minus zapala zapałkę. W świetle majaczy twarz Jacka. Minus rzuca zapałkę i biegnie na górę).

JACEK

Pan mię nie poznaje? Dzisiaj w Lunaparku,
Targ rozpoczęliśmy. Dobijemy targu.

(Minus cofa się przerażony. Za nim Jacek z żelaznym prętem).

Hużha.

(Znikają obaj w ciemnościach).

Scena 10.

(Nadchodzi Plus. Na jego widok gromada rozstępuje się. Plus idzie wolnym krokiem. Jest przygnębiony).

PLUS

Czemuż mnie nie sądzicie?
Chciałem z was zrobić nędzarzy.
Dybałem na wasze życie!

(Obserwuje gromadę).

Bierzcie mię! Jestem zbrodniarzem!

(Milczenie).

Czemu milczycie? O Boże.
Wy ziemi tej fundament,
Twardzi i czyści jak diament:
Przelękli? Więc i wy może?
— Wiele się spraw wyjaśniło.
On kradł.
— On oszukał.

PLUS

On jest tylko siłą.
Tak jak w gonitwach dalekich,
po błoniach transcendentu,
jestem kość z kości człowiekiem,
tej ziemi palcem tknięty,
tak on w swej zażartości,
w walce o jadło krwawej,
jest sensem nieskończoności:
prawem.
— Gdyby pan zechciał panie,
mogłoby być inaczej.

PLUS

Cóż ja bez niego znaczę?
Słuchajcie: w szamotaniu
kiedym los trzymał w rękach,
gdzieś mi ten los wyleciał.
Może kto znalazł. Wiecie?
Wygrała biedna maleńka.
To jej majątek przecie.
— Co nam tam jakieś śmiecie.

PLUS

Los ten to całe życie.
— Jest tu ważniejsza sprawa.
Trza go wykurzyć stąd.
Pan będzie świadczył, że kradł;
czas oddać złodzieja pod sąd.

PLUS

Nie będę świadczył. To brat.
— Więc pocóż ta cicha pokora,
skoro pan skryty i dumny?
— Z nami. A jak nie: fora.

PLUS

Odejdę, ale zaklinam:
Oddajcie los dziewczyny.
Bo i cóż ona winna?
— Mówiłem: chory.
— Dziecinny.

PLUS

Wy co oskarżać umiecie,
osądźcie: czy nie kradniecie?

— Komu to mówić — nam?
— Już był tu jeden taki,
co nam powiedział: cham.
— Fora. Niebieskie ptaki.

BRUS
Chłop jestem z dziada pradziada,
więc wierzcie temu co gadam:
To święty człowiek, chłopaki.

(W czasie tej rozmowy Rubinek ukrywa się).

Scena 11.

(W tartaku stuk, a potym śmiech Jacka. Przez chwilę widoczny Minus. Zawisnął na barierze. Nad jego rękami Jacek z prętem podniesionym do uderzenia).

JACEK
Królujże w tartaku. Przecież tartak twój.
Tron czeka na ciebie. Skacz na piłę.

PLUS
Stój.

(Plus przedostaje się przez gruzy i biegnie po chwiejnych schodach. Jacek ujrzawszy Plusa znika. Tłum stoi osłupiały. Korzysta z tego Minus i wydostawszy się na schody znika w ciemnościach).

Scena 12.

RUBINEK
Mieliście głupcy taki dwuch,
co jeden żarciem, drugi słowem,
chcieli dowodzić wami.
Jedno jest pewne: mieli głowę.
A wam bęcwały właśnie brakło głów.
Tartak się lada chwila zwali,
I gdy tam walczą proroki,
wy tu będziecie kupą stali,
aż z szczytu spadną zwłoki.
Pogrzeb im szumny sprawicie.
Hieny. Wy to umiecie.
— Odeszli obaj.
— A co będzie z nami?
— Kto ich osądził?
— To ty.
— To ty.

RUBINEK
Spór. Oto żywota dynamit.

BRUS
Ratować tartak. Do roboty.

(Rubinek śmieje się).

RUBINEK
Choćby umknęli przed powodzią,
Plusa z Minusem kto pogodzi?
Mam pomysł.

Scena 13.

(Rubinek wchodzi ostrożnie do tartaku. Po chwili ginie w ciemności).

PLUS
Minusie. Zaczekaj, to ja.

MINUS
Poznałem cię tchórzu po chytrych pazurach.

PLUS
Strzeż się, ktoś nad tobą.

MINUS
Lisie kiepska gra.

PLUS
Uwierz mi bo zginiesz.

MINUS
Stara uwertura.

(Widoczny na chwilę Rubinek. Trzyma los w ręce. Przybiera patetyczną postawę).

RUBINEK
Mówi głos wieczności:
Bezrozumna waśń,
ochwieje filary, rozewrze na oścież
dach.

(Pociera zapałkę).

Do mnie tu. Znalazłem w rumowisku los,
jak łachman przez zęby psów nawpół rozdarty.
Tu mówi rozumów waszych wspólny głos,
nie los znaczy, znaczy że wali się tartak.

(Po schodach przebiegają Plus i Minus).

PLUS
Ty wołasz Minusie?

MINUS
Błądzę osaczony
i padam w ciemności co krok.
Gdyby w coś uwierzyć.

RUBINEK
Do mnie. Miliony.
Za ten los zbudować można Nowy York.

PLUS
Gdyby mojej wierze przydać siłę rąk.

MINUS
Wierzę. Ujrzysz: w ręce mam żelazny drąg.

PLUS
Sam zginiesz jeżeli ja Minusie zginę.

MINUS
Przysięgnę jeżeli przysięgniesz.

PLUS
Przysięgam.

RUBINEK
Los dziewczyny. Tartak. Do mnie. Tu potęga.

(Do Rubinka zbliżają się z dwuch stron: Plus i Minus).

MINUS
Kto to?

PLUS
Kto to wołał?

RUBINEK
Do usług Rubinek
Panowie wybaczą patetyczny ton.
Sprawa całkiem prosta: nie ma na co czekać.
Tu przecież śmierć grozi. Uciekać.

MINUS
Ja myślałem...

PLUS
Gdzie los?

RUBINEK
Wasz los? Oto on.

PLUS
Oddaj.

RUBINEK
Ho. Ho. Najpierw długi trzeba płacić.
Pan mi za dyskrecję winien. A pan procent.

MINUS
Ty...

RUBINEK
Na co czekacie? Tartak już dygoce.
Wy jesteście moi. Ja was nie śmiem stracić.

(Minus i Plus na chwilę osłupieli. Minus zapala zapałkę, podnosi ją do góry i obserwuje strop. W świetle wi-

doczny przy skrzynce łączników Jacek. Jacek wykonuje ruch. Tartak zaczyna drżeć. Wpatrzeni w Jacka Rubinek, Plus i Minus nie zauważyli że jadą na posuwającym się w stronę piły legarze. Legar dotyka piły. Piła poczyna przeraźliwie wyć).

RUBINEK

Tam w górze... Ten smarkacz... Panie ty mnie nie karz.

— Rany Boskie prędzej.

— Uciekać.

— Uciekać.

(Jadący na legarze zbliżają się coraz bardziej do piły. Plus i Minus mimowoli podają sobie ręce dla utrzymania równowagi).

JACEK

Handlujecie cudzym majątkiem cholery?
Huźha. Nie wyjdziecie żywcem z tej rudery.

(Przeraźliwy krzyk Rubinka. Rozkłada on ręce w których trzyma los i traci równowagę. W tej chwili Plus i Minus pochwytują los po połowie. Rubinek wpada pod piłę).

Za Zośkę...

(Plus i Minus zobaczywszy że najeżdżają na piłę, gwałtownie rozłączają się padając jeden w jedną, drugi w drugą stronę).

Za ojca. I za krzywdę moją.

(Jacek zbiega po schodach i otwiera śluzę. Woda zalewa parter. Plus i Minus wydostają się na schody. Trzymają się kurczowo poręczy. Tartak powoli chwieje się i rusza z wodą).

Huźha, Huźha.

BRUS

Jacek, Jacek.

JACEK

O jak ja się boję.

(W miarę jak tartak przepływa z biegiem rzeki zahypnotyzowany tłum na czele którego postępuje Brus posuwa się w tym samym kierunku).

Dialog.

(Nadbiega para z Dyrektorem).

— Papo to wspaniałe.

— Nie podchodź za blisko.

— Skoda tylko że to na zakręcie zginie.

— A może to życie?

— Koniec widowiska.

— Panta rei. Nowe za chwilę nadpłynie.

KONIEC.

Z kraju i ze świata

Zgon wielkiego myśliciela

Zmarł w końcu kwietnia br. Edmund Husserl, twórca fenomenologii, znakomity autor „Formale u. transzendentale Logik“, „Ideen zu einer reinen Phänomenologie u. phänomenologischer Philosophie“, „Logische Untersuchungen“, „Méditations Cartésiennes“ i szeregu innych dzieł, których odkrywcze myśli i rozważania metodologiczne stanowią głęboki zwrot w dziejach nowożytnej filozofii. Pozostawił mnóstwo prac rękopiśmiennych, które przekazał kołu filozoficznemu w Pradze, grupującemu kontynuatorów szkoły fenomenologicznej i wydającemu czasopismo „Philosophie“, jeden z najcenniejszych organów myśli czystej w Europie współczesnej.

E. Husserl jest założycielem jednego z najpłodniejszych kierunków spekulatywnych naszych czasów. W przyszłej historii filozofii będzie on zaliczony do tych, którzy ocalili czystą myśl filozoficzną od degeneracji empirystycznej i pozytywistycznej, w jaką zabrnęła w ostatnich dziesięcioleciach. Jego homeryckie boje z empiryzmem i psychologizmem miały na celu wywikłanie filozofii z gąszczu omylnych dróg na jakie zapędziły ją błędne ogniki t.zw. „filozofii naukowej“, zdecydowanie antymetafizycznej, i zwrócenie jej ku właściwemu jej przedmiotowi: wiedzy samej w sobie.

Ten nowy transcendentalny kurs, zapoczątkowany przez Husserla w jego metafizyce czystej świadomości, nawiązuje świadomie do Kartezjusza, tego myśliciela, któremu niegdyś — jak pisze Wroński — „przypadł zaszczyt ratunku filozofi“. Kartezjańskie „Cogito ergo sum“ było nie czym innym, jak antycypacją „redukcji fenomenologicznej“, jako metody wyłuskiwania „bytu wnętrznego wiedzy“, a mianowicie powszechności, konieczności i absolutnej przedmiotowości warunków istnienia rzeczy z kontyngentności zjawisk i podmiotowych treści psychicznych. Te warunki istnienia rzeczy to świat istot ejdetycznych, jedności (powszechników) pojęciowych, ontycznie uprzedmiotowanych, z których najwyższą jest sama świadomość, jako wiedza zwrócona na siebie, ostateczna granica redukcji transcendentalnej. Pojęcie to „eidos“, pozornie platońskie, bliższe jest Wrońskiego „świata zasad stwórczych“, tożsamości bezwzględnych bytu i wiedzy, których sięga jedynie „intuition creatrice“. To też Husserl kładzie zasadniczy nacisk na poznanie intuicyjne — Wesenserschauung, kontynuacja intuicji intelektualnej Kartezjusza (Cogito ergo sum) i Schellinga (Intelektuelle Anschauung) — jako ujmowanie bezpośrednie przedmiotowości transcendentnej, do której zdążają wszelkie akty świadomości, w swym charakterze intencjonalnym.

Pojęcie intencjonalności, to jeszcze jedna cecha pokrewieństwa husserlizmu z racjonalizmem absolutnym Hoene - Wrońskiego. Świadomość u Husserla to poprostu akt intencjonalny, dążenie „ja“ czystego do ujęcia się w swej przedmiotowości czystej. Pośrednio więc, lub bezpośrednio, przedmiotem, motywem, intencją aktów świadomości jest a b s o l u t. Nic innego nie twierdzi Wroński. Życie świadomości czystej to — w pojęciach filozofii absolutnej — wysiłek podmiotu transc. (autogenii) do ujęcia się w przedmiotowości abs. (autotezji). Lecz Wroński idzie dalej, pobudowując — z elementów absolutnych autogenii i autotezji — prawo generacji śwadomości czystej, będące zarazem metodą kreacji wszelkiej rzeczywistości, które zwie Prawem Stworzenia.

Husserl świadom był swej wysokiej misji spekulatywnej, w chaosie tendencyj neopozytywistycznych naszego wieku: „Jestem monadą, którą Bóg powołał do świadomości i poruczył jej pewne zadania do spełnienia. Moja religia, moja służba Boża polega na wykonaniu tego, co mam poruczone, a mianowicie mam założyć fundamenty pod naukową pracę filozoficzną. Gdy to zadanie ukończę i Bóg mię odwoła, to on już sam będzie wiedział, co ma ze mną począć“...

Problem masonerii

Masoneria jest dziś przedmiotem najżywiej interesującym polską opinię publiczną, obok doniosłych wypadków na terenie międzynarodowym. Piszą o niej gazety przynosząc coraz to nowe rewelacje mniej lub więcej ścisłe, rozmawia się o niej i dyskutuje namiętnie w kołach prywatnych. I słusznie, jest to bowiem w obecnej chwili ośrodkowy problemat naszego życia publicznego. Znajdujemy się w punkcie zwrotnym historii Polski odrodzonej. Dylemat: czy Polska ma nadal ulegać wpływom światowych, zakonspirowanych internacjonałów, czy też oderwać się od nich uzyskując pełną niezależność duchową, dojrzewa do rozstrzygnięcia. Zrozumiano bowiem, że bez wyzwolenia z pod tajnych wpływów agentur nie ruszymy z martwego punktu ani w dziedzinie zjednoczenia narodowego, ani na polu gospodarczej rozbudowy, ani w podźwignięciu roli Polski na arenie międzynarodowej.

Ale do rozwiązania problemu masonerii przystąpić trzeba mądrze i metodycznie, z poczuciem odpowiedzialności, bez tromtadracji i z całym aparatem środków, jakimi rozporządzamy. Przede wszystkim należy wykrystalizować sytuację pod względem prawno - państwowym. Ustawa antymasońska musi być uchwalona przez Sejm i Senat Rzeczypospolitej, bez względu na paniczne wysiłki mafii, zdążające do uniemożliwienia tego aktu publicznego jej potępienia przez naród i państwo polskie. Jednocześnie pójść musi praca nad uświadomieniem społeczeństwa o istocie, wadze i rozległości tego zagadnienia, gdyż w masach polskich, zwłaszcza poza stolicą, panuje pod tym względem kompletna ignorancja. W tym celu stworzyć trzeba ośrodki gruntownych studiów nad kwestią masonerii i związków tajnych wogóle, oraz nad historią mistycyzmu, okkultyzmu, magii i t.zw. „wiedzy tajemnej" in uniwersali, gdyż stamtąd właśnie wywodzi się genetycznie zarówno masonia jak i filjacje pokrewne. Trzeba też powołać do życia instytucję, któraby informowała o tych zagadnieniach w sposób ciągły i systematyczny opinię publiczną i dostarczała prasie odpowiednich materiałów.

Polska opinia publiczna musi się wypowiedzieć jasno i zdecydowanie, że nie chce już więcej ulegać inspiracjom sił ukrytych, kierowanych przez niewiadome ośrodki dyspozycji i realizujących tajemnicze cele. Musi ona powiedzieć niedwuznacznie, że żąda jawności i prawdy, a potępia konspirację i zakłamanie. Musi też podjąć walkę o Polskę nową, czystą i samorządną, Polskę wolną i opartą jedynie na sobie.

„Poseł Prawdy" nie żyje

Gdybyśmy chcieli wskazać w życiu Polski ostatniej doby dwu ludzi, personifikujących w sobie najdoskonalej antynomię społeczną w pojęciu mesjanicznym, dwu przedstawicieli najczystszych prawicy i lewicy społecznej, tj. „stronnictwa uczucia" i „stronnictwa poznania" (w myśl terminologii Wrońskiego), wybór nasz padłby na śp. Karola Huberta Rostworowskiego i śp. Aleksandra Świętochowskiego. Pierwszy był w sztuce i w życiu apostołem Dobra, żarliwym „rycerzem błędnym" wiary chrześcijańskiej, zagłębiającym się w tajniki judaszowe zła, w misterium miłości boskiej i miłosierdzia, drugiego zwano „Posłem Prawdy", za jego bezkompromisowość w walce z obskurantyzmem, nieustraszoność w rozbijaniu fałszywych autorytetów i niepodległość myśli.

Ś. p. Aleksander Świętochowski przeciwstawił się romantyzmowi w imię ideału pozytywistycznego „pracy organicznej", walczył z fideizmem w imię niezależnego, krytycznego rozumu, głosił „postęp ludzkości" przeciwko tzw. „reakcji", wierzył, że rozwój wiedzy i oświata powszechna są najlepszą receptą na zło tego świata. Na pozór tedy stał w jednym szeregu z dzisiejszymi wyznawcami demokracji, laicyzmu i postępu z pod sztandarów „frontu demokratycznego" Ale stał od nich nieskończenie wyżej. Jemu n a p r a w d ę chodziło o prawdę, a nie o zwycięstwo tej czy innej sekty, międzynarodówki czy mafii potajemnej, zdążającej pod pokrywką wzniosłych haseł do cynicznej eksploatacji świata profanów, do ucisku myśli i pracy, do dyktatury „gwałtu zorganizowanego".

W ustach Świętochowskiego prawda i postęp nie były frazesem. Umiał on odmaterializować nawet praktycyzm i utylitaryzm pozytywizmu, którego panowanie tak pustoszyło mózgi w drugiej połowie ub. stulecia i tak fatalnie zahamowało postęp myśli filozoficznej. Szedł w pojedynkę, nie w gromadzie, może dlatego, że nie uznawał kompromisów i nie kłaniał się możnym, darzącym zaszczytami i władzą. To też symboliczny jest fakt, że w Polsce odrodzonej nie było dlań fotela w Akademii Literatury, jak symbolicznym było redagowanie przezeń przez lat 30 pisma „Prawda" i pisywanie w nim felietonów pod znakiem „Liberum Veto".

Oby lewica polska więcej miała takich przedstawicieli. Wówczas nie trudnym było by rozwiązanie antynomii społecznej w duchu mesjanicznym.

Jeszcze o konsolidacji

Ostatnie wypadki na terenie OZN, pobudziły aktywność tej popadającej już w letarg organizacji. Ukazały się deklaracje i oświadczenia, dotyczące sprawy żydowskiej, problemów gospodarczych i t.p., oraz zapowiedzi szerokich wynurzeń programowych, które nastąpią zapewne już na sesji nadzwyczajnej w czerwcu br. Wydaje się też, że chwilowo zrezygnowano z kursu jaskrawo „naprawiackiego", który miał zwekslować Ozon na lewo. Wszystko to zapisać trzeba na dobro grupy „Jutra Pracy", której niektóre organy prasowe wymyślają od „warchołów", i „odprysków", która jednak swą odważną decyzją powstrzymała niebezpieczny proces w łonie OZN i wymusiła zwiększenie jego aktywności (narazie w słowach dopiero, a nie w czynach).

Jednakże — trzeba to powiedzieć jasno i niedwuznacznie — nawet powrót na porzuconą platformę deklaracji płk. Koca nie rozwiązuje problemu konsolidacji, który od początku postawiony był fałszywie i obrósł w ciągu roku mnóstwem fatalnych nieporozumień. Zjednoczenie wszystkich sił twórczych jest w Polsce konieczne, jeśli chcemy utrzymać byt niepodległy i wypełnić swe obowiązki historyczne pośród groźnego zamętu dni naszych. Ale dokonanie tego dzieła jest niemożliwe, jest istną kwadraturą koła w obecnych warunkach, zarówno w ramach biurokratycznych „obozu", będącego półoficjalną emanacją systemu, jak i w ramach porozumienia partyjnictwa przedmajowego z reżimem pomajowym. Tylko i d e a, wyrastająca bezpośrednio z korzeni prawdy polskiej, może zjednoczyć naród i odrodzić cierpiący na przedwczesną arterio - sklerozę organizm państwowy. Ci, którzy tej prostej prawdy nie chcą zrozumieć, stają się mimowiednie wrogami Polski, zaporą na drodze jej rozwoju.

Ozon był i jest tworem połowicznym, lawirującym pomiędzy prawicą a lewicą społeczną. Wyrazem tej połowiczności było hasło t.zw. „demokracji kierowanej", któ-

rego absurdalność w tym sensie w jakim pojmowali je kierownicy obozu, wykazaliśmy w jednym z n-rów naszego pisma („Demokracja kierowana", „Zet", nr 8, r. VI). Pojednanie prawicy i lewicy, pomieszczenie ich we wspólnocie organizacyjnej nie da się uskutecznić inaczej, jak przez rozwiązanie antynomii społecznej, tj. przez odkrycie zasady ustrojowej, równoważącej harmonijnie zasadę „władzy od góry" i „władzy od dołu". Zasadę taką przynosi ideokracja polska, postulująca ustrój antynomialny. Ale twórcy OZN nie zadali sobie trudu, aby ją poznać, zadowolili się beznadziejnym klajstrowaniem, tracąc czas i siły napróżno.

Poza tym, sama forma „obozu" o charakterze monopartyjno - totalnym, jest w warunkach polskich nie do urzeczywistnienia, jest — co ważniejsze — niepotrzebna. Polska zmierza do ideokracji, systemu wyższego rzędu, niż komunizm czy hitleryzm lub faszyzm, to też „obóz", tworzony na wzór tamtych systemów będzie miał u nas zawsze charakter formacji szczątkowej, zabytkowej. Potwierdza to doświadczenie. Ozon tkwi w próżni, pomiędzy władzą państwową a społeczeństwem, niby muzeum form skamieniałych i już przebrzmiałych, zanim jeszcze uzyskały w Polsce wydźwięk jasny i moc obowiązującą. Z całego 20-stolecia Polski odrodzonej ważne są dwa zjawiska historyczne: walka o silną władzę dla zwierzchnika i walka o prawo prawdy dla narodu. OZN ma charakter wyłącznie przejściowy. Dopiero z połączenia nadrzędnego tych dwu zasad: prawa prawdy i prawa autorytetu, powstanie w Polsce nowy ustrój prawno - polityczny. Miejsce OZN zajmie w nim organizacja ideokratyczna narodu, wypełniająca żywą treścią duchową formę ustrojową państwa.

Pamięci prof. Witolda Rubczyńskiego

Myśl polska poniosła dotkliwą stratę. Zmarł w Krakowie śp. Witold Rubczyński, długoletni profesor historii filozofii U.J., prezes krak. Towarzystwa Filozoficznego, jeden z wybitnych członków Polskiej Akademii Umiejętności. Był to człowiek rzetelny i prawy, ewangelicznej wprost dobroci, wyznawca etyki absolutnej, odrzucającej wszelkie pragmatyczne i utylitarystyczne kompromisy.

Śp. Witold Rubczyński usiłował pogodzić stanowisko niezależnej myśli filozoficznej ze stanowiskiem wierzącego katolika, dla którego autorytet Kościoła jest w rzeczach prawdy rozstrzygający. Arcy - trudna ta antynomia znajduje swe rozwiązanie dopiero na gruncie Cognosco absolutnego, jakie przynosi Wroński w swej filozofii religii. Prof. Rubczyński nie chciał pójść tak daleko, polemizował nawet ze stanowiskiem zajętym przez „Zet" w polemice „Wronskizm a katolicyzm". Śledził jednak postępy wronskizmu w Polsce z życzliwym i lojalnym zainteresowaniem, co o niewielu jego kolegach z katedr uniwersyteckich da się powiedzieć. A zbliżył się śp. Witold Rubczyński do filozofii mesjanicznej poprzez Augusta Cieszkowskiego, bądź co bądź pokrewnego Wrońskiemu. W przedmowie do pierwszego wydania swej „Etyki", prof. Rubczyński uznaje Cieszkowskiego za swego mistrza i przewodnika duchowego na drodze poszukiwań aksjologicznych w etyce — obok Platona i Plotyna.

W największym rozmiarami dziele swego życia, „Zarysie etyki" (którego drugie, rozszerzone wydanie w 3 tomach ukazało się niedawno nakładem Towarzystwa Naukowego Kat. Uniw. w Lublinie), śp. Witold Rubczyński odrzuca etykę eudajmonistyczną, głosząc zasadę zestroju indywidualności i powszechności, jako nadrzędny ideał etyki, harmonizujący w sobie rozwój duchowy jednostki i społeczności.

Książki nadesłane

M. Rudnicki. „Żydzi"

Powieść współczesna. Str. 391. Księgarnia św: Wojciecha.

Roman à thèse. Tą thèse jest antysemityzm, a więc temat bardzo aktualny, nie tylko w Polsce bynajmniej. — Wydaje się, że wszechświatowa potęga żydowska, doszedłszy w ostatnich stu latach do zenitu, obudziła czujność świata chrześcijańskiego. Świat poczuł, że jakieś ukryte siły natrętnie go odwodzą od własnych jego przeznaczeń, więc próbuje się otrząsnąć. I, jak zawsze: im mniej będzie w tym odruchów, namiętności, im więcej rozwagi i przemyślenia, tym lepiej. Nie z Żydami trzeba walczyć, lecz z tym, co w żydostwie szpetne i szkodliwe. Occidite errores, diligite personas. Gdybyśmy „wytępili" Żydów metodami, które by nas samych odchrześcijaniły, jakiż stąd zysk byłby dla ludzkości? Pierwszym obowiązkiem człowieka rozumnego i prawego jest uświadomić sobie, jakie są prawdziwe cele ludzkości; zbadać, które czynniki sprzyjają osiągnięciu tych celów, a które je krzyżują; usuwać te ostatnie choćby i przemocą, ale bez okrucieństwa i bez sadyzmu.

Sadyzmu p. Rudnicki na ogół się ustrzegł; przykrzejsze wrażenie sprawia chyba tylko scena samosądu nad Heńkiem Złotnickim, niepotrzebnie potraktowana na wesoło. Poza tym autor, nie szczędząc czarnych farb Żydom, wcale się nie stara wybielić i Polaków. W antytezie: rodzina Podchamskich (Polacy) — rodzina Złotnickich (Żydzi), już samo nazwisko pierwszego członu stanowi istne nomen omen; toteż antyteza wypada niezbyt kontrastowo: raczej szaro - czarno, niż biało - czarno.

Przed napisaniem swej powieści, Rudnicki poznał gruntownie język, obyczaje, zabobony i wierzenia Żydów, oraz znaczny udział procentowy inteligencji żydowskiej w tajnych towarzystwach. Zaznacza: „Ustępy wyróżnione podkreśleniem są cytatami z pism lub przemówień różnych działaczy żydowskich... Cytaty z Talmudu są wyraźnie oznaczone dla uniknięcia zarzutu fałszowania świętych dla Żydów ksiąg".

Proces powrotu spolszczonego pozornie Heńka Złotnickiego na łono judaizmu przedstawiony przekonywująco, z wielkim prawdopodobieństwem psychologicznym. Dla przeciętnego czytelnika główną zaletą książki będzie to, że jest pisana żywo i zajmująco.

Jan Strzembosz. „Radosna twórczość".

Powieść. 360 str. Księgarnia św. Wojciecha.

Jan Strzembosz zapowiedział tetralogię powieściową pt.: „Dzieje dziesięciolecia". Pierwszym tomem była „Pożyczka zagraniczna", omówiona swego czasu w Zecie. Drugim jest powieść niniejsza — znacznie, moim zdaniem, lepsza od pierwszej, o wiele mniej rozwlekła, choć także przeładowana refleksjami autorskimi. Występują tu znane już nam główne postacie: Jacek Białynia, Strwiąż, senator Cezary Polko, Nad Warszawą przeszła burza wypadków majowych. Autor subtelnie i rozumnie analizuje reakcję społeczeństwa, upostaciowanego w kilku bardzo różnych typach psychicznych. Najbardziej współczująco potraktowana jest bolesna rozterka Strwiąża; najironiczniej — ewolucje

Cezarego Polki. Ten zawsze się znajdzie na wozie, niezależnie od tego, czy wóz jedzie kołami w dół, czy kołami do góry.

W ogóle p. Strzembosz chętnie i obficie się posługuje ironią jako środkiem artystycznym, ironią umyślnie przytłumianą, powściągliwą. Pod względem literackim wręcz doskonały jest cały rozdział, w którym poznajemy braci Krzepeckich i wiejski ich żywot. To istne arcydziełko wytrzymanego stylu i wytrawnego humoru mogłoby żyć życiem samodzielnym, wyodrębnionym z powieści, powiedzmy: nowelistycznym.

Spojrzenie na rzeczywistość polską uważne, pełne patriotycznej troski o przyszłość; wielka erudycja historyczna.

Nuży maniera pisania króciutkimi, urywanymi zdankami, których w tej książce jest bez mała tyleż, co i wierszy druku; głośno czytać tę powieść byłoby prawie niepodobieństwem; co dwie sekundy trzeba by głos zawieszać. Dziwi też, że autor odmienia nazwisko Polko według deklinacji męskiej; owe „Polkowi, Polkiem" brzmią równie niemile, jak Kościuszkowi czy Matejkiem.

Cz J.-K.

Walenty Majdański: Giganci

Nakładem autora. Warszawa, 1937 r.

Książka Majdańskiego jest symptomatyczna. Świadczy o głębokich fermentach, jakie odbywają się w duszach jednostek, odczuwających wszystkimi fibrami nerwów niezwykłość przeżywanych obecnie czasów.

Tęsknota za heroizmem życia, heroizmem woli i uczucia, podyktowała autorowi karty „Gigantów". Któż są ci Giganci? To rycerze religii Chrystusowej, wcielający czynem niezłomnym w życie wskazania Syna Bożego. W części pierwszej „Cywilizacje nieśmiałe" autor stara się uchwycić i wyłożyć przyczyny dzisiejszego załamania się kultury chrześcijańskiej. Przyczyny te wedle autora są następujące: „Wstydzenie się Pana Boga", licha małość wyznawców Chrystusa, którzy swą wiarę przystosowali do potrzeb utylitarnych życia i konwenansu; „Kobieta — trumna", która goni za uciechami, kładąc główny nacisk na wyzyskanie całej pełni życia, negując rodzinę przez zabijanie w zarodku niemowląt, których cały zmysł rodzinny i uczucia macierzyńskie doskonale wyraża schemat — „pan, pani i pies"; „Uwięzione wychowanie", którego perfidność polega na tym, że niewychowani, zepsuci starzy wychowują niewinne dzieci. Nie można odmówić słuszności tym uwagom. Istotnie tak jest. Starzy, którym „wszystko" wolno, którzy na „wszystko" sobie pozwalają, wzięli w swe ręce wychowanie młodzieży, nie troszcząc się zupełnie o dalsze wychowywanie siebie. Chrystus nie wychowywał dzieci, jak słusznie zauważa autor, ale starych i zabronił gorszyć dzieci.

W części drugiej, zatytułowanej „Świat świętych" autor szkicuje zarysy przyszłego państwa Gigantów. Uzasadnia tu szerzej potrzebę heroizmu, konieczność zreformowania rodziny i wychowania. Mówi o ziemi, wojnie i pokoju. Tezy autora opierają się na tomiźmie i wskazaniach ewangelii.

Autor na wstępie książki położył słowa następujące: „Książkę przeznacza się tylko dla wierzących. Albowiem autor nie ma zamiaru nawracać tchórzliwych umysłów, które nie odważyły się dotychczas spojrzeć życiu wprost w oczy, by ujrzeć w nim siebie wobec Boga, jako ojca, i którym, co główna, brak było dotąd zdecydowanej woli życie swe wieść konsekwentnie ku nieśmiertelności".

Tu odrazu pierwsza krytyczna uwaga. W swej głębokiej żarliwości apostołowania, autor odrazu na wstępie pokłócił się z naczelnym wskazaniem Chrystusa: „nie przyszedłem do zdrowych ale źle się mających" (cytuję z pamięci) oraz te słowa: „Bo Syn człowieczy przyszedł aby zbawił, co było zginęło". (Mateusz 18,11).

Autor dając powyższe motto chce wyjść poza krąg ludzkiego grzechu i upadku, chce przebywać tylko w świecie heroizmu i najwyższych ekstatycznych napięć woli i uczucia religijnego. Cóż jednak wiemy z nauki Chrystusa? Nauka Jego jest przeznaczona przede wszystkim dla biednych, opuszczonych, grzesznych i odtrąconych. Co głosi Chrystus?: „Co się wam zda? Jeżliby kto miał sto owiec, a zabłądziłaby jedna z nich: aza nieopuszcza dziewięćdziesiąt i dziewięć, i idzie szukać onej, która zabłądziła?" Chrystus opuści 99 świętych dla jednego biedaka, który grzeszył, ale pragnie łaski przebaczenia i odkupienia.

W świecie Świętych-Gigantów nie ma miejsca dla maluczkich i upadłych. Pogardzą nimi Święci-Giganci, jak gardzi autor tchórzliwymi? Cóż więc stanie się z Królestwem Bożym? A przecież „Takci nie jest wola przed Ojcem Waszym, który jest w niebiesiech, aby zginął jeden z tych maluczkich".

W stawianiu i formułowaniu tez o heroicznej wierze, woli oraz życiu widzę pewną oschłość dogmatyczną. Nie, nie można tak dogmatycznie stawiać tych zagadnień.

Sprawa druga jest następująca: Autor słusznie podkreśla, że dobry przykład porywa wątpiących w prawdę religii Chrystusowej, ale nie wiem, czy autor zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, iż fideizm został przez Kościół potępiony? Kto więc ogranicza się tylko do heteronomicznego wchłaniania prawd wiary, nie wypełnia „stricto sensu" wskazań Kościoła. Należy prawdy wiary autonomicznie poznać. Co prawda, sam Kościół nie jest jeszcze obecnie zgodny co do tego, jak to „poznanie" ma się odbywać. Wydaje mi się jednak, że nie wolno rozumowi zrezygnować z pomocy filozofii, która już w obecnym swoim rozwoju potrafi gnozeologicznie niektóre prawdy religii wyłożyć. Stąd też należy obok dobrego przykładu postawić „dobre" poznanie prawd wiary, jako dwie dźwignie rozwoju duchowego człowieka i dwie dźwignie rozpowszechniania religii Chrystusowej. Dopiero wtedy przyjdzie „Królestwo Boże" na ziemię i zrealizują się marzenia Gigantów.

Książka Majdańskiego warta jest czytania. Zawiera dużo trafnych i śmiałych sformułowań. Razi tylko swą dogmatycznością i małą zwartością stylu.

A. Madej

Wrońskiana

Zmarły w roku 1912 profesor Henryk Struve pozostawił w rękopisie rozprawę o filozofii Hoene-Wrońskiego, którą świeżo ogłosiły „W i a d o m o ś c i M a t e m a t y c z n e" (1938) w dodatku do t. 44. W rozprawie tej autor wykazuje większe zrozumienie i głębszą ocenę filozofii absolutnej, niż w swych poprzednich pracach („Wstęp krytyczny do filozofii" i „Historia logiki jako Teorii poznania w Polsce"), zaznaczając głębokomyślność naszego filozofa, jego samodzielną oryginalność i zaliczając go „do najgenialniejszych przedstawicieli owego romantyzmu, który swymi ideałami życiowymi i swym panteistycznym na świat poglądem nadawał piętno nie tylko poezji, lecz i całemu życiu umysłowemu pierwszej połowy zeszłego wieku". Wspominając o tragizmie życia Hoene-Wrońskiego, autor pisze, że „w tym wszystkim występuje też na jaw cała potęga wielkiego umysłu, oddanego w zupełności swej sprawie, żyją-

cego wyłącznie dla niej a wraz z nią i dla ludzkości"..., „filozofia polska powinna być dumna z takiego pierwszorzędnego przedstawiciela idealizmu romantycznego". — W zacytowanych zdaniach łatwo dają się spostrzec błędy Struvego: niedostateczność rozumową panteizmu Hoene-Wroński wykazuje w wielu miejscach swych dzieł (ob. np. tablicę I, w „A p o d y k t y c e"; dalej, filozofia absolutna, jako oparta na Prawie Stworzenia, wznosi się ponad wszelkie dotychczasowe systematy filozoficzne, i nie może być mowy o zestawieniu jej z idealizmem romantycznym. Poza tym przy rozważaniu treści i formy w doktrynie Hoene-Wrońskiego popełnia on błąd dość rozpowszechniony wśród tych, którzy nie zgłębili należycie filozofii absolutnej, mianowicie: odnosi treść do transcendentalnego punktu widzenia, formę zaś do logicznego punktu widzenia. To ma miejsce tylko w matematyce, bowiem przedmiot matematyki polega jedynie na pewnym użyciu naszych funkcyj umysłowych, których treść jest rządzona przez prawa transcendentalne, forma zaś przez prawa logiczne (ob. R é f o r m e d u S a v o i r h u m a i n, t. I. p. 48).

Notatkę o „F i l o z o f i i m a t e m a t y k i" Hoene - Wrońskiego, wydanej w polskim przekładzie P. Chomicza, umieściła „M y ś l N a r o d o w a" w nr 53 z d. 19 grudnia 1937 r.

W wydawanych w Krakowie „Acta Astronomica", luty 1938, docent uniwersytetu poznańskiego dr F. Koebcke w artykule p.t.: „Ueber Hoene - Wroński's Ueberlegungen zur Himmelsmechanik und deren Wiederaufnahme durch einige neuere Autoren" rozważa prace Hoene-Wrońskiego z zakresu mechaniki niebios. Przyznając Hoene - Wrońskiemu wielkie zasługi w dziedzinie matematyki i filozofii autor dopatruje się błędu w podstawowych jego prawach mechaniki niebios, błędu odtwarzanego następnie przez jego kontynuautorów i uczniów: G. Garcia, K. Jankowskiego, P. Demiańczyka.—Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór rozprawy F. Koebckego, ponieważ, jak sądzimy, uczynią to dotknięte przez niego osoby, powiemy na razie, że autor rozprawy walczy ze swą własną błędną interpretacją prawa najwyższego mechaniki niebios Hoene - Wrońskiego. Nadmieniamy przy sposobności, że znaczenie tego prawa wyświetlił P. Chomicz w artykule p.t. „Mechanika niebios", podanym w naszym piśmie d. 15 maja 1933 r.

Łossky, N.O. „Tree Chapters from the History of Polish Messianism", A vol. in 8, of 32 pages. Prague. 1936.

Publikacja zawiera trzy wykłady z cyklu, wygłoszonego latem 1933 r. pod tytułem: „Polska, czeska i rosyjska filozofia religijna" przez profesora N. Łosskiego, kiedy występował, jako zaproszony prelegent, na Stanfordskim uniwersytecie w Palo Alto (w Kalifornii). Jeden rozdział poświęcony jest Hoene - Wrońskiemu.

E. Britt „La Synthèse de la musique". Les éditions Véga, Paris, 175, Boulevard Saint - Germain, 1938, Str. 41.

Ernest Britt, muzyk i muzykolog belgijski, zwolennik doktryny Hoene - Wrońskiego, hojnie popierający wydawnictwo dzieł mistrza, w r. 1914 ogłosił w „Annales du XX Siécle" rozprawę p.t.: „La Synthése de la musique", będącą zastosowaniem Prawa Stworzenia Hoene - Wrońskiego do pobudowy gamy diatonicznej. Dziś, po 24 latach, odtwarza w nieco zmienionej redakcji pod dawniejszym tytułem tę rozprawę, atoli wzbogaconą późniejszymi swymi rozważeniami, wyłożonymi w publikacjach: „Gamme Sidérale et Gamme Musicale", 1924, (która wyszła też w r. 1927 w niemieckim przekładzie F. Weingartnera) i „La Lyre d'Apollon", 1931, i świeżo uzupełnionymi odsłonięciem związku znamion dzisiejszej muzyki z charakterem przeżywanego przez nas krytycznego okresu dziejów, wykreślonego przez Prawo Postępu Hoene-Wrońskiego.

Dziełka te przeczytają z wielkim zainteresowaniem i pożytkiem wszyscy ci, których umysł pociąga zagadka istoty muzyki dzisiejszej i przyszłej. — Książka wydana wykwintnie.

Katowicka „Kuźnica" w nr nr 5 i 6 z d. marca i 31 marca br. przynosi artykuły prof. M. Orlickiego o Hoene-Wrońskim, w których autor podaje życiorys Hoene - Wrońskiego oraz wymienia ważniejsze jego dzieła matematyczne, dłużej zatrzymując się na świeżo wydanej w przekładzie polskim „Filozofii matematyki".

W monumentalnej „Enciclopedia Italiana", której ukazało się już 34 tomy, w t. II w artykule p.t.: Determinanti uwzględniono wrońskian czyli wyznacznik Wrońskiego (determinante Wrońskiano).

W ostatnim numerze miesięcznika „Verbum", redagowanym przez Ks. J. Korniłowicza, ukazał się art. Ludwika Bujalskiego pt. „Filozofia Hoene - Wrońskiego", w którym autor polemizuje ze stanowiskiem religiologicznym naszego myśliciela, dowodząc, błędności tezy Wrońskiego o możliwości Cognosco religijnego. Geneza błędu tkwi, zdaniem jego, w tym, że Wroński przyjął za Kartezjuszem i Kantem niesłuszną zasadę heterogeniczności bytu i wiedzy, jako elementów rzeczywistości. Autor fałszywie rozumie pojęcia bytu i wiedzy, oraz ich zestroju, w filozofii absolutnej. Omówimy nin. artykuł nieco szerzej w jednym z następnych numerów „Zetu".

Ukazała się niedawno, książka Bolesława Święcickiego pt. „Unia narodów chrześcijańskich", w której autor wypowiada poglądy, zbieżne w wielu punktach z ideałami historiozofii i filozofii polityki Wrońskiego, a powołuje się też niejednokrotnie wprost na twórcę filozofii absolutnej. Recenzja z tej książki ukaże się w naszym piśmie.

Redakcja i Adm.: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.